Alina Bosak

Strachy, smoki i łąckie tajemnice

Trzebownisko 2022

Tekst, redakcja, koncepcja: **Alina Bosak**

Zdjęcia i rysunki: Karol Ząbik, Tadeusz Poźniak, Roman Dacko, Alina Bosak, Anna Kozioł, Agnieszka Rogala, Franciszek Bałanda oraz ze zbiorów Gminy Trzebownisko, Zdzisława Orzecha, Muzeum Etnograficznego w Rzeszowie, Krzysztofa Cieśli, Wikimedia, Pixabay.

Wydawca: **Gmina Trzebownisko**

Projekt okładki, skład, druk i oprawa: **drukujtotu.pl**

ISBN: 978-83-966043-1-6

Gmina Trzebownisko

Województwo Podkarpackie

„Zadanie pn. Wydanie publikacji w ramach projektu: „Strachy, smoki i łąckie tajemnice", realizowane przy pomocy środków z budżetu Województwa Podkarpackiego w ramach Podkarpackiego Programu Odnowy wsi na lata 2021-2025".

Strachy, smoki i łąckie tajemnice
Legendy i opowieści

Ostatni smok 5
Jak książę Sanguszko patrona dla kościoła w Łące wybrał 17
Legenda o Starym Wisłoku 27
O łabędziu i łabędzim śpiewie Błażeja 34
Diabeł z Krzywego Wału 39
Jak chłopi łączy przed Tatarami się skryli 47
Jak królową Jadwigę Wisłok uratował 57
Skarb konfederatów 61
Zły, co w kogucie siedział 70
Skrzypek czarodziej 76
Duch z pałacowej wieży i lwica Warszawy 82
Czart na murze 89

Ostatni smok

Oj, działo się to jeszcze zanim Wisłok zawziął się, żeby zmienić koryto. Płynął sobie przez wioskę Łąka krętą wstęgą i z góry wyglądał jak wielki wąż morski albo nawet chiński smok. Dziś tak samo wije się Stary Wisłok, co po dawnej rzece został…

– Co też pleciesz, dziadku? Skąd w naszej Łące smok?

– A właśnie, że był. Zaraz ci o nim opowiem.

***

Łąka to nie była byle wioseczka. O, nie! Przed wiekami znajdowała się tu królewska stadnina, bo król Kazimierz Wielki wyprawiał się za Wisłok na wojenne wyprawy, to i koni potrzebował. Tędy też podążali kupcy starym szlakiem na Ruś, wioząc najróżniejsze towary na handel. A i Tatarzy łatwo wioskę gnębili przez to, że leżała przy tak bardzo uczęszczanym trakcie. Chłopów w jasyr brali, na zawsze uprowadzając z rodzinnej wsi. Raz tatarska orda wpadła do Łąki w oktawę Bożego Ciała. Splądrowali kościół do cna. Cud, że go nie spalili. Płonąłby szybko, by był drewniany. Tymczasem ocalał. Dopiero czas go pokonał. Kiedy już zdawało się, że belki dłużej nie wytrzymają i dach w końcu ludziom na głowę runie, proboszcz kazał kościół rozebrać. Stało się to początkiem nadzwyczajnych zdarzeń.

Stary kościół zniszczał, nowy trzeba zatem postawić! Póki co msze odprawiano w kaplicy naprzeciw szpitala ubogich. Ale cóż to za świątynia dla najstarszej w okolicy parafii, do której przychodzili chłopi nie tylko z Łąki, ale i całej okolicy?

Trafiła się w końcu fundatorka – księżna Teofila Lubomirska. Zdecydowana była postawić okazałą, murowaną świątynię. Jak to mówią: Człowiek planuje, Bóg z tego żartuje. Budowa szła sprawnie, ale tylko do czasu, bo księżna umarła. Podciągnięte do wysokości okien mury zamiast dalej rosnąć, straszyły i zgoła inne stwory przyciągnęły niż anielskie.

***

– Mężu mój, znów mnie matka we śnie nawiedziła. Blada i smutna, choć jestem pewna, że w niebie przebywa – skarżyła się Józefa Maria z Lubomirskich.

– Cóż ją tam może trapić? – książę Paweł Sanguszko uniósł brwi ze zdziwienia.

– Kościół w Łące, który budowano dzięki jej hojności, już czwarty dziesiątek lat niedokończony stoi. Mój brat dzieło matki zlekceważył. Do obowiązku kontynuowania się nie poczuwał. Teraz, kiedy umarł, to wiano na mnie przechodzi. Dokończmy budowę. Hojność i nam bramy nieba uchyli. Sterczące bez dachu mury kościoła wstyd przynoszą i o pomstę raczej wołają – tak Józefa Maria swego męża księcia Pawła Sanguszkę przekonywała.

I przekonała go księżna tą mową, jednak książę nie od razu prośbę jej spełnił, bo sprawy polityczne mocno go zajmowały, więc znów upłynęło trochę lat, a księżna musiała śladem matki do nieba powędrować, by przypomniał sobie daną jej obietnicę. Tym bardziej, że i parafianie łączy prośby w tej sprawie do Warszawy wciąż mu posyłali. Siadł tedy książę pewnego dnia i napisał list do pełnomocnika swoich dóbr, że czas najwyższy świątynię dokończyć. Z tym, że popsute już deszczem i wiatrem mury kazał rozebrać do fundamentów i budowę kościoła zacząć od nowa.

Wkrótce też, a był to rok 1742, do dzieła przystąpiono. Setki rąk pracowały nad rozebraniem zwietrzałych ścian, zrzucając z nich jedną cegłę za drugą. Robotę zaczynano o świcie, a o zachodzie słońca dopiero kończono. Stary mur topniał w oczach i do ziemi było coraz bliżej.

Tego dnia ściągano już ostatnie cegły z fundamentów. Naraz pod jedną ze ścian ukazała się ziejąca czernią jama. Głów kilka pochyliło się ku niej, by sprawdzić jak jest głęboka, i błyskawicznie tego pożałowało. Z mroku wysunęła się najpierw obrzydliwa paszcza, a w chwilę potem z dołu wygramolił się wielki smok. Narzędzia wypadły przerażonym ludziom z rąk. Prysnęli na boki w okamgnieniu. Wielu tak się ziemia pod stopami paliła, że dopiero we własnej chałupie oglądnęli się za siebie. Tylko niektórych ciekawość zatrzymała za pobliskimi wierzbami. Grube pnie na chwilę wydały się dobrą kryjówką, więc ostrożnie zza nich wyjrzeli.

Smok był naprawdę wielki. Długi jak wiejska chałupa. Cały zielony, tylko na grzbiecie, od czubka głowy po koniec ogona, biegła smuga połyskująca złotem i czerwienią. Czasem takimi kolorami zaczynał się latem świt nad zielonymi łąkami, które rozpościerały się nad Starym Wisłokiem. I gdyby nie wielki strach, chłopi ukryci za wierzbami musieliby przyznać, że w piękne barwy ubrał się groźny gad. Na razie jednak zachwyty nie były im w głowie. Smok mocno stał na czterech łapach zakończonych pazurami. Z grzbietu wyrastały mu skrzydła błoniaste jak u nietoperza. Na chwilę je rozłożył i machnął raz, jakby chciał sprawdzić, czy go uniosą. Wydawały się jeszcze nie do końca wyrośnięte. Widać smok był młody i nie wiadomo, czy latać potrafił. No, jak na podrostka, to paszczę miał straszną choć wcale nie pryszczatą. Błyskały w niej ostre zębiska i oczy lśniące jak ta smuga na grzbiecie. Nozdrza wielkie jak u byka. Tylko patrzeć jak dym z nich się uniesie, a bestia ogniem zionie.

Póki co dym się jednak żaden znad głowy smoka nie unosił. Co więcej, wyglądał nawet na przestraszonego. Może oślepił go blask dnia? W końcu nie wiadomo, ile w jamie siedział. Widać było, że ruszać się z miejsca na razie nie zamierzał. Tylko wolał się trzymać swojej kryjówki.

Chłopi ostrożnie wycofali się, zostawiając jednego na posterunku. Nie poszli jednak do domów, ale do karczmy, bo było o czym pogadać.

***

– Ludzie, toż to przecież niemożliwe. Chyba z piekła samego ta bestia wyszła. Zaraz domy nam spali – lamentował Kuba.

– A co będzie, jak sobie krów albo dziewic zażyczy? – pytała jego żona Kaśka, bo jej się legenda o smoku wawelskim przypomniała.

Zasępili się ludzie mocno, bo przecież nieraz zimowymi wieczorami opowiadali sobie o tym, co się zdarzyło w grodzie Kraka. No, ale kto by pomyślał, że smoki gdzieś jeszcze żyją? Wawelski pękł już z tysiąc lat temu.

Tak samo jak w chłopi w karczmie zachodził w głowę zarządca folwarku, nerwowo przemierzając pałacowe podwórze. „Skąd w Łące smok?", po raz setny zadawał sobie to pytanie. Zdumiony tym bardziej, że w smoki nie wierzył, chociaż o nich czytał. Usiłował sobie teraz przypomnieć, co takiego w legendach pisano. Zdaje się, że lubiły mieszkać na mokradłach i nad rzekami, jak ten, którego św. Jerzy pokonał, czy szewc z Krakowa. Widywano je ponoć w Karpatach, gdzie jest dużo jaskiń. Bo smoki według podań gniazda właśnie w grotach, jaskiniach i różnych podziemnych jamach budowały. Widać pod murem niedokończonego kościoła musiała powstać jakaś zapadlina, która przypominała jaskinię. Do niej zaś jakimś cudem trafiło smocze jajo. Mogło wyturlać się z wozu jednego z tych kupców, którzy nieopodal jeżdżą traktem handlowym. Ha! Wiózł on może towar sprowadzony z samych Chin, gdzie też podobno mają smoki. „Głupota!", upomniał sam siebie w myślach zarządca. „Smoki chińskie bardziej węża przypominają, a ten tutaj jak z obrazków ze św. Jerzym walczącym. No pięknie, skoro ten smok łącki europejskie bestie przypomina, to może wyrosnąć wielki jak nasz spichlerz, a wtedy potężnymi skrzydłami pół nieba zasłoni".

I zadrżał na tę myśl zarządca, i popędził do gabinetu, żeby list do księcia Sanguszki napisać i kuriera co koń wyskoczy do Warszawy posłać.

***

Do roboty przy kościele nikt nie myślał wracać. Pilnowano tylko, czy smok nie ruszy się z miejsca. Na razie trzymał się jamy, od czasu do czasu tylko wychodzą na słońce. Niepokoiło jednak chłopów, kiedy oblizywał paszczę językiem, bo domyślali się, że robi się głodny. Tak upłynęło parę dni, aż do Łąki przybył książę Sanguszko bestię spod kościoła zobaczyć. Potem wypadki nastąpiły szybko.

Najpierw postanowiono smoka do zagrody złapać. Trzeba ją było zbudować z mocnych jak dąb pali i strasząc gada pikami i smołą w zasadzkę go wprowadzić. Potem może owcę z siarką się przyszykuje albo co innego wymyśli.

Cały dzień do tej operacji się szykowano. A następnego ranka gromada mężczyzn ostrożnie, tylko spoglądając na siebie, czy już nie trzeba uskakiwać, do jamy powoli się zbliżyła. Kosy i ostre żerdzie miały im posłużyć do postraszenia gada. Smok prędko wyczuł intruzów i nie trzeba było długo czekać, jak z ciemności wyskoczył i stanął na brzegu jamy. Chłopi natychmiast się cofnęli.

– Nie bójcie się. Widać, że jeszcze młody. Ogniem nie zionie. Dym z nosa nie idzie – wołał do ludzi pastuch Wojtek, sam twardo trzymając drewnianą żerdź, którą dzień wcześniej zaostrzył jak pikę. Nie bał się, bo wiedział, że kobiety już wrzątku i smoły gorącej naszykowały. Jak tylko smok paszczą na ludzi kłapnie, to poczęstuje się go taką polewką.

Jego wołanie pomogło. Już i inni mocniej kosy chwycili, i krok za krokiem zaczęli postępować w stronę bestii. Zmuszony smok cofał się powoli aż go przyparli do ściany zagrody – pułapki. Gdzieś chyba z samych trzewi popłynął ku nim jego groźny jak warczenie psa pomruk.

– Zośka, Hanka, dawajcie smołę. Zanim on ogień w sobie wzbudzi, my go zamknąć musimy – krzyknął ktoś z gromady napierającej na gada.

Nie zdążyli.

Smok szyję długą wyciągnął i przed samymi nosami kłapnął im paszczą tak, że się niemal wszyscy przewrócili. Mógłby człowieka połknąć dwoma kęsami. Widać jednak i on się wystraszył, bo zamiast rozpoczynać śniadanie złożone z łąckich chłopów, cofnął się jeszcze krok i rozpostarł skrzydła. Najpierw lekko nimi poruszył, jakby wiatru nabierał. Zdawało się, że go nie uniosą. A jednak wystarczyło kilka szybkich machnięć i zielone cielsko zawisło parę metrów nad ziemią. Bestia jeszcze raz łypnęła okiem na uzbrojoną gromadę i niczym bocian na południe odfrunęła. I tyle ją widzieli.

Po tym wszystkim książę Sanguszko w dwa lata nowy kościół wybudował. A kiedy dokończono wszystkie prace wewnątrz, przyjechał biskup Sierakowski, by poświęcić dzieło. Do dziś okazała świątynia pod wezwaniem św. Onufrego z niewielkiego wzniesienia nad całą okolicą góruje.

Gdzie poleciał smok? Tego nikt nie wie. Być może do Torunia. Bo cztery lata po wypadkach, do których doszło w Łące, a dokładnie 13 czerwca 1746 roku mistrz ciesielski Johann Georg Hieronimi widział smoka latającego nad ruinami Zamku Krzyżackiego w Toruniu. Z daleka trudno było ocenić jego wielkość. Na pewno miał cztery łapy jak jaszczur. W powietrzu unosił się zaś dzięki skrzydłom, dlatego uczeni znający łacinę uznali, że smok ów należał do gatunku: Draco volans – smok latający. Czy był zielony? Tego nie wiadomo.

***

– I to był, dziadku, nasz łącki smok?

– Trudno powiedzieć, ale ponoć ostatni.

Jak książę Sanguszko patrona dla kościoła w Łące wybrał

Już dwa lata minęło od dnia, kiedy chłopi z Łąki szczęśliwie przepędzili smoka, który pod fundamentami kościoła się zalęgnął, a książę Paweł Karol Sanguszko nadal nie wiedział, jakiego wybrać patrona dla świątyni budowanej z takimi przygodami.

„Toż przecież od pięćdziesięciu już lat ta budowla powstaje!", zżymał się w duchu. Zaczęła ją jeszcze w 1690 roku księżna Teofila Lubomirska z możnego rodu Ostrogsko-Zasławskich, jego świętej pamięci teściowa, a tu już rok 1744 w kalendarzach. Dobrze, że teraz już wszystko idzie sprawnie, ale przecież, ile to było zachodu. Najpierw mury zwietrzałe trzeba było rozebrać. Potem z podziemi wygramoliła się ta skrzydlata bestia i tak ludzi przeraziła, że aż po niego do Warszawy posyłali, aby nieszczęściu zaradził. Kiedy smok wreszcie odleciał, nikogo nie pożerając, i żadnej strzechy przy tym ogniem nie poczęstował, książę zrozumiał, że najlepiej Panu Bogu za to wszystko podziękuje piękną świątynię stawiając. Mistrz Fontana wszystko wspaniale zaprojektował. Kościół był długi na 24 metry, a szeroki na trzynaście. I na wysokość też trzynastu metrów ku niebu się wspinał. Już niedługo trzeba będzie się brać za ozdabianie wnętrza, a tu wciąż nie wiadomo, czyją postać umieścić w głównym ołtarzu.

Miał książę wprawdzie od paru już lat myśl, by patronem uczynić świętego Onufrego, ale wielu mu to odradzało. „Nigdzie w okolicy Onufrego za patrona nie biorą. W cerkwiach, i owszem, w każdej jest na ikonie, ale u nas mniej popularny i mniej znany od św. Pawła Apostoła, a św. Paweł to przecież i imiennik waszej książęcej mości. Jego lepiej wybrać".

Książę był unitą, więc św. Onufrego darzył szczególną czcią. Podziwiał go za wytrwałość i siłę charakteru i za odwagę również, bo dużo jej trzeba, by wyrzec się ziemskich dóbr. A ojciec Onufrego, perski władca, był prawdziwym bogaczem. Osierocił jednak syna, kiedy ten miał zaledwie sześć lat. Onufry wychowywał się w klasztorze w Egipcie. Tam usłyszał o Janie Chrzcicielu oraz innych eremitach i postanowił iść w ślady świętych pustelników. Zamieszkał w jaskini na Pustyni Tebaidzkiej. Żywił się tylko owocami i ziołami. Tak spędził na odludziu aż 70 lat. Całkowicie ufał Bożej Opatrzności. Cierpliwie znosił nocne chłody, a przecież nocą na pustyni jest prawdziwa lodownia. Za to w dzień skwar trudno wytrzymać. Do tego trzeba było jeszcze głód przetrwać i samotności się nauczyć. Wszystkiemu Onufry dał radę. Asceza i modlitwa sprawiły, że stał się świętym tak Kościoła katolickiego, jak i Cerkwii prawosławnej. Ale rzeczywiście wśród chrześcijan wschodu był bardziej popularny. Czy będzie pasował do starej łąckiej parafii?

Książę Sanguszko chciał dać poddanym patrona, który przemówi do ich serc, a nie będzie wydawał się obcy… Zasępił się więc w swych myślach. Nic mądrego do głowy mu nie przychodziło, a właśnie zbliżał się do celu swej podróży. Łąka majaczyła już w oddali. I z każdym uderzeniem końskich kopyt, z każdym obrotem koła u powozu była coraz bliżej. Przecież nie powie tam ludziom, że księciu panu nic mądrego do głowy nie przychodzi.

Nie chciał proponować patronów, których miały poprzednie łąckie kościoły. Nijak się przecież miały tamte budowle do rozmachu tego, który on ufundował. Pierwszy, św. Marcina, był cały z drewna, a stawiał go trzysta lat temu o wiele mniej od niego zamożny Jan Feliks Rzeszowski. Drugi, pod wezwaniem św. Jadwigi, powstał w rozbudowanej szpitalnej kaplicy, kiedy ten pierwszy Tatarzy spalili. Jak nazwać zatem trzeci? Daj Boże już na wieki wieków postawiony, bo takie ma mury solidne, że chyba tylko biblijny potop dałby im radę.

– Prrrrrr! – krzyknął nagle stangret, a konie kopytami w drogę tak zaryły, że książę aż spadł z luksusowego siedzenia w karecie.

– Stajnie będziesz wymiatał, a nie mnie woził – zagrzmiał książę wściekły na woźnicę.

– Człowiek, panie… – wymamrotał przestraszony lokaj, którego twarz pokazała się w okienku pojazdu.

Wyjrzał więc przez nie książę, by zobaczyć przeszkodę. Na zewnątrz kurz dopiero opadał. Przy drodze kurczowo trzymając się sękatego kija stał wciąż jeszcze oszołomiony starzec, którego pęd koni o mało co nie przewrócił. Co się stało, że stangret zamiast popędzić je dalej, ściągnął gwałtownie lejce, narażając się na książęcy gniew? Wędrowiec wyglądał nader nędznie. Odziany był w zgrzebną, szarą siermięgę, którą przepasał konopny sznur, zwyczajem dziadów proszalnych podążających po odpust do świętych miejsc. Zadziwiała broda tego człowieka. Siwa tak jak i długie włosy starca, sięgała mu niemal do bosych stóp. „Jak u pustelnika", pomyślał książę Sanguszko. Wielu pokutników i pątników pod kościołami spotykał, ale takiego brodacza to tylko na obrazkach widywał. Jakieś imię w myślach też zamajaczyło, ale tak ulotne, że nie mógł go zatrzymać.

– Dokąd was, starcze, Pan Bóg prowadzi? – zapytał więc zaintrygowany.

– Znikąd donikąd, jaśnie panie – odpowiedział staruch.

– No przecież na drodze jesteście, a droga zawsze gdzieś prowadzi – zaoponował Sanguszko.

– Przed siebie idę, jaśnie panie. Za drogą, gdzie oczy poniosą – przytaknął wędrowiec.

– Domu nie macie?

– Śpię tam, gdzie ludzie pozwolą. Jem, czym z dobrego serca poczęstują.

– To głodni pewnie chodzicie – nie bez złośliwości stwierdził Sanguszko.

– Boża Opatrzność czuwa.

– Gdzieś musieliście się urodzić – upierał się książę.

– O tam – odrzekł starzec i podniósł kij, którym łuk zatoczył po horyzoncie. Zakreślił to swoje pochodzenie od południa po wschód, gdzie majaczyły już łąckie chałupy, i dalej na północ w kierunku Łukawca.

Spojrzał książę na to żebracze królestwo. Nie wyglądało najlepiej po straszliwej powodzi, która parę miesięcy wcześniej pochłonęła tyle ludzkiego dobytku. Muł i kamienie wciąż zalegały na polach po tym, jak Wisłok wystąpił z brzegów i przeniósł się z nurtem w zupełnie nowe koryto. Kościół bardzo nie ucierpiał, bo stał na lekkim wzniesieniu, na uboczu wioski. Ale już chłopi mieszkający niżej nie mieli tyle szczęścia. Także i pleban łącki stracił, bo woda uniosła młyn w Palikówce, z którego miał dziesięcinę, a z plebańskiej obory zabrała pięć krów i dwa woły. „Jak na pustyni jest tu teraz", pomyślał książę Sanguszko, chociaż zieleń bujnie rwała się do życia, bo natura nigdy się przecież nie poddaje.

– Onufry, panie – usłyszał niespodzianie z ust starca.

– Co? Co mówisz? – zapytał zaskoczony.

– Onufry mnie wołają, chociaż nazywam się Pietraszek – powtórzył nędzarz wciąż wpatrujący się w księcia ze skraju zakurzonej drogi. Słońce zeszło już niżej i jego promienie docierały do powozu przez ażurową koronę lasu po południowej stronie traktu. Oświetliły też głowę starca, siwe włosy zapalając złotem, przez co wyglądała jakby ją ustroiła aureola. Ta długa po ziemię broda jak u pustelnika, ten kij – towarzysz wytrwałej wędrówki, te pola wokół szare od mułu tak podobne do Pustyni Tebaidzkiej… Czy to dziad proszalny czy święty stał przed księciem?

– Niech więc będzie Onufry – szepnął Sanguszko i drżącą ręką wyciągnął z kiesy złotą monetę, by rzucić ją starcowi. Był już pewny, jakiego patrona będzie miała łącka parafia.

Legenda o Starym Wisłoku

Gwarna i kolorowa dziś nasza Łąka. Czasem można pomyśleć, że w samym centrum świata leży. Z jednej strony kolej, z drugiej autostrada, a nad głowami samoloty. Za chwilę przez Internet może i bilet na księżyc będzie można kupić?

Tylko w jarze Starego Wisłoka czas jakby się zatrzymał. Otula on od południa naszą rozpędzoną wioskę. Wije się to stare rzeczysko od samego Rzeszowa między Łąką a Krasnem, hen przez Strażów i Palikówkę aż do Woli Dalszej za Łańcutem, i jest zielonym azylem dla ptactwa i dzikiej zwierzyny. Sarny chowają się tu w zagajnikach i nieprzebytych gąszczach. Nieco dalej od brzegu lisy kopią w ziemi głębokie nory, a w koronach drzew myszołów uwił sobie gniazdo i zazdrośnie pilnuje swojego terytorium. Piękne i dzikie to siedlisko, o czym łatwo przekonać się tym, którzy powędrują polną drogą od Krzywego Wału wzdłuż dawnego rzecznego koryta. Na spotkanie wyjdzie im cisza. W dzień trudno tu o żywą duszę inną niż ważki i dzikie kaczki w szuwarach. Nocą jednak, powiadają, od lustra wody słychać czasem niepokojące dźwięki. Raz niby śmiech, kiedy indziej coś, co przypomina jęk albo płacz. Śmiałkowie mówią, że to zwykłe odgłosy polnej głuszy i zwierząt. Bojaźliwi duchów się boją, co z dawnych legend wróciły…

Dawno, dawno temu, długo przed tym, jak król Kazimierz na Ruś się wyprawiał, żadnej rzeki tu nie było, tylko droga przez sam środek puszczy biegła. Ponurą sławą cieszył się ten trakt. Pełen zapadlisk, dołów, otoczony bagniskami, na których duchy straszyły i zbójcy grasowali. Stała tu też karczma, w której ponury karczmarz trunki podawał

i podróżnym nocleg oferował. Może on i łotrem nie był, ale z bandziorami żył w komitywie. Co rusz tu zaglądali, by udany rabunek świętować. Jedli, pili, tańcowali i dzielili się łupem. Zła sława tego miejsca rozniosła się po świecie. Ale co z tego, kiedy innej drogi nie było i właśnie tędy często trzeba było jechać.

Taki też przymus pewnego razu sprowadził na niebezpieczny szlak zamożną damę. W strojnej karecie podróżowała już od wielu dni, kiedy w końcu w tę puszczę się wtoczyła. Nie bała się, bo towarzyszyła jej dzielna świta. Wierni najemnicy biegle władali mieczem i sztyletem. Z łuku celnie potrafili strzelać, a dzidą bez problemu niedźwiedzia dosięgali. Czujnie teraz rozglądali się po lesie. W gęstych zaroślach trudno jednak było cokolwiek wypatrzeć. Tym bardziej, że od kilku godzin padał deszcz. Jego jednostajny szum wypełniał uszy, a krople wciskały się za kołnierze. Wszyscy już tej podróży mieli dosyć. Nie wyłączając damy. Mimo poduszek i atłasów, którymi wyścielono jej pojazd, od ciągłego podskakiwania pojazdu czuła już wszystkie kości. Dlatego nie wahała się ani chwili, kiedy ktoś z jej świty zawołał:

– Pani! Karczma! Stajemy?

– Stajemy – zarządziła.

Noc już zapadała, kiedy wtoczyli się na podjazd samotnej gospody. Zza okiennic sączyło się ciepłe światło, a kiedy dama zbliżyła się drzwi, doleciał do niej smakowity zapach pieczonego mięsiwa. W środku gości było niewiele, ale z boku przy paru stołach siedziała rozbawiona gromada. Dama niespecjalnie jej się przyjrzała. Szybko odnalazła wzrokiem karczmarza, który już kłaniał jej się w pas.

– Pokój dla mnie i miejsce do spania dla moich towarzyszy – zażądała. Doszła do wniosku, że jeszcze tylko miodu ciepłego do pokoju sobie zażyczy i pójdzie spać. Naprawdę była umęczona tą podróżą. Służba jeszcze wyprzęgała konie i w suchej stajni sypała im obroku, kiedy ona już powoli wychodziła po schodach na pięterko z pokojami. Szybko zapadła w sen i nie wiedziała, że jej świta tęgo w karczmie popiła. Szynkarz trunku najemnikom nie szczędził, a nalewał go do kielichów tym obficiej, im szerzej

uśmiechał się do niego jeden z tych gości, którzy tak spokojnie przy stolikach z boku sobie siedzieli. W końcu zbrojni towarzysze damy popadali pod stoły i tylko głośne chrapanie świadczyło o tym, że jeszcze żyją. Niedługo! Bo na to tylko zbójcy czekali. Oni to przez cały czas przy sąsiednich stołach siedzieli, udając przypadkowych podróżnych. Zerwało się teraz dwunastu i noże w ich rękach błysnęły. Karczmarz ulotnił się niczym zjawa.

– Załatwić ich – rozkazał herszt tej bandy. Wysyczał to właściwie, bo ptaszyny na pięterku nie chciał spłoszyć.

I zabrali się źli złoczyńcy do krwawego dzieła. Zabili cały orszak i bez wstydu żadnego kieszenie trupom jeszcze przetrząsali szukając kosztowności.

Dama nagle ocknęła się w łóżku na pięterku, przeszyta złym przeczuciem. Czasem sen przynosi człowiekowi ostrzeżenie, ale nie zawsze na czas. Zresztą, czy znalazłaby ocalenie wymykając się w bezkresny las, między bagna, gdzie nie tylko zbójcy, ale i wilki grasują? Tego nikt nie wie, a na ucieczkę i tak było już za późno. Zbójcy już skobel w drzwiach wyłamywali. Rzuciła się do okna i wpadła wprost w łapy herszta, który z drabiny już przez nie wchodził do środka. Nie przeżyła dama tego spotkania ze zbójcami. Długo się nad nią znęcali i żadnego bólu nie oszczędzili. Prawdę mówią, że w niektórych ludziach bestia mieszka i czasem lepiej spotkać się z wilkami niż z potworem w skórę człowieka przebranym.

– Przeklinam was! Przeklinam! Niech piekło pochłonie karczmę, zgraję… – tyle przed śmiercią dama wyjęczała. Skarga echem nad karczmą zagrzmiała i została wysłuchana.

Ziemia zatrzęsła się i każda ściana strasznego przybytku zatrzeszczała. I nagle wszystko gruchnęło w czeluść bezdenną, która pod karczmą paszczę rozwarła. Mówią, że tam głęboko pod ziemią Belzebub piekło sobie urządził. I do takiego teraz gospodarcza na gościnę zbójcy polecieli. Czarcie wrota po tym wszystkim się zawarły i śladu po karczmie, stajniach, łotrach i podróżnych już nie było.

Spod ziemi za to wypłynęło źródło, ponoć słone było jak łzy.

Ale z czasem woda sól rozrzedziła i popłynęła szerokim strumieniem przez drogę, wypełniając doły, wykroty i bagniska. Stary podróżny trakt w rzekę się zamienił. Na miejscu karczmy powstało urokliwe jezioro. Ciemnobłękitne, o przejrzystej toni, w której nocą księżyc i gwiazdy się przeglądają. Nikt nie wiedział, jak jest głębokie, bo nawet najlepszym pływakom nie udawało się tam zanurkować do samego dna. „Bezdenne jest", mówili. Może to i prawda, może piekło całkiem się nie zamknęło?

Zanim ludzie wioskę tu założyli, długo to jezioro otaczała wysoka ściana lasu, dęby i buki. Zaś nad samą taflą wody rosło dwanaście rosochatych wierzb. To dawni zbójcy, którzy mieszkance jeziora się kłaniali. Długo jeszcze tajemnicza nimfa wabiła tam nieświadomych niczego wędrowców. Ponoć tym o czystym sercu, tylko pieśń smutną nuciła i puszczała wolno. Ale byli i tacy, którzy jej śpiewem uwiedzeni w wodę szli bez pamięci i ginęli na wieki.

Dziś próżno na brzegu jaru Starego Wisłoka wypatrywać dwunastu rosochatych wierzb. Ale mówią, że w jednym miejscu pod zieloną rzęsą wodną kryje się owa bezdenna, przezroczysta toń, w której nimfa mieszkała. Podczas ciepłych, letnich nocy wśród szelestu szuwarów i szemrania wody słychać stamtąd szepty i wzdychania, a czasem jakby jęk i skargę ludzkim głosem powiedzianą. Tak mówią. Ale sama nigdy ich nie słyszałam.

O łabędziu i łabędzim śpiewie Błażeja

Słyszeliście, co to łabędzi śpiew? Kiedyś, kiedyś, zwłaszcza tam, gdzie łabędzie rzadko widywano, ludzie uważali, że to ptaki nieme, które raz jeden tylko – przed śmiercią – wydają z siebie głos. To nieprawda, bo wiadomo, że łabędzie wydają z siebie różne, choć czasem osobliwe dźwięki. A jednak ludzie upierali się, że wcale tak nie jest. Nieme mają być i już. Nawet mistrz Seneka, który mieszkał dwa tysiące lat temu w Rzymie, święcie w to wierzył. Wymyślono, że ostatnie dzieło, jakie artysta tworzy, też jest jak ten łabędzi śpiew – piękne, rzadkie i wyjątkowe. Co więcej, dusza poety po śmierci podobno właśnie w łabędziu lubi zamieszkać. Dlatego Szekspira to już za życia łabędziem nazywali.

Ale okazuje się, że nie tylko dusze poetów pchają się między łabędzie pióra, ale i demony lubią wykorzystać ludzką miłość do tych ptaków. Przekonali się o tym Kaśka i Błażej z Łąki, kiedy na grzyby w dębinę na zachód od wioski się wybrali.

Las był wilgotny o świcie, a borowiki garnęły się pod mokre stopy. Narosło ich po deszczu, to i wszelki trud niewyspanym grzybiarzom wynagradzały. Pochylała się co chwilę Kaśka, Błażej co rusz nową zdobycz do koszyka wrzucał. I tak doszli nad sam brzeg krętego strumienia, który w lesie płynął. Po drugiej stronie na polanie w trawie okazałe kapelusze bielały. „Pieczarki?", zaciekawili się Kaśka z Błażejem. Ale że w tym miejsce dosyć głęboko było, poszli z biegiem rzeczki, żeby łatwe przejście przez nią znaleźć. Zamiast na bród na jeziorko leśne trafili. Po jego tafli łabędź pływał. Pyszniły się bielą królewskie skrzydła, a szyja wdzięcznie wygięta odbijała się w lustrze wody. Kaśka zamarła w zachwycie. Ale nie Błażej.

– Zaraz go złapię. Rosół ugotujesz – wymamrotał żonie do ucha, bo widać tylko polowanie było mu w głowie. Coś tam już w życiu wcześniej złowił, a teraz znów wyczuł okazję. Jeziorko było niewielkie, ptak obojętny na ich widok i prawie na wyciągnięcie ręki. Wystarczy zrobić parę kroków, wejść do wody i cap!

Tak sobie pomyślał Błażej i zaraz pomysł zaczął wcielać w czyn, ruszając ku wodzie. Już nogą kręgi na powierzchni obudził. Posuwa się uparcie coraz dalej. Tylko muł pod stopami jakiś lepki i coraz głębiej w niego się chłop zapada. No, ale łabędź już tuż, tuż. Wyciąga rękę, frrrr…

Machnęło ptaszysko skrzydłami i dwa kroki dalej podleciało. I dalej pływa, i Błażeja kusi. Jeszcze krok, drugi. Noga w mule już po kolana, ale łabędź prawie w łapskach łowcy. Wyciąga rękę, frrrrr…. Znów ptaszysko dalej na środek jeziorka poleciało. Błażej ani myśli się poddawać.

– Błażej, wracaj – krzyczy Kaśka, a on nic. Jak zaczarowany krok następny robi, choć woda już pod zadek mu podchodzi. – Błażeeeej! – woła Kaśka coraz bardziej przerażona. I wtedy łabędź ku niej głowę odwraca. Czarne oko tak lśni, że Kaśka już sama chce w wodę się rzucać i do niego płynąć. Ledwo powieki zdołała zacisnąć. Już nie patrzy i już rozumie, że to nie łabędź, a demon wabi ich w topiel.

– Błażeeeej! – znów krzyczy. Ale mąż nie reaguje. Kaśka więc łapie się wierzbowej witki i za mężem do wody wchodzi. Szybko, szybko, zanim omamiony się utopi. „Nie patrzeć na ptaszysko, nie patrzeć na ptaszysko", powtarza tylko Kaśka i w wodę idzie.

W ostatniej chwili Błażeja za rękę chwyciła i przemocą na brzeg ciągnie. Silny był i pewnie nie dałaby mu rady, gdyby nie to, że brnięcie przez muł bardzo go umęczyło. Dlatego choć zły, dał się na brzeg w końcu wyprowadzić.

Łabędź zaskrzeczał rozzłoszczony i nagle rozpłynął się jakby był utkany z mgły.

– Kaśka, Kaśka, dziękuję – zajęczał Błażej. I słusznie dziękował, bo mało brakło, a byłby ten las usłyszał jego ostatni, łabędzi śpiew.

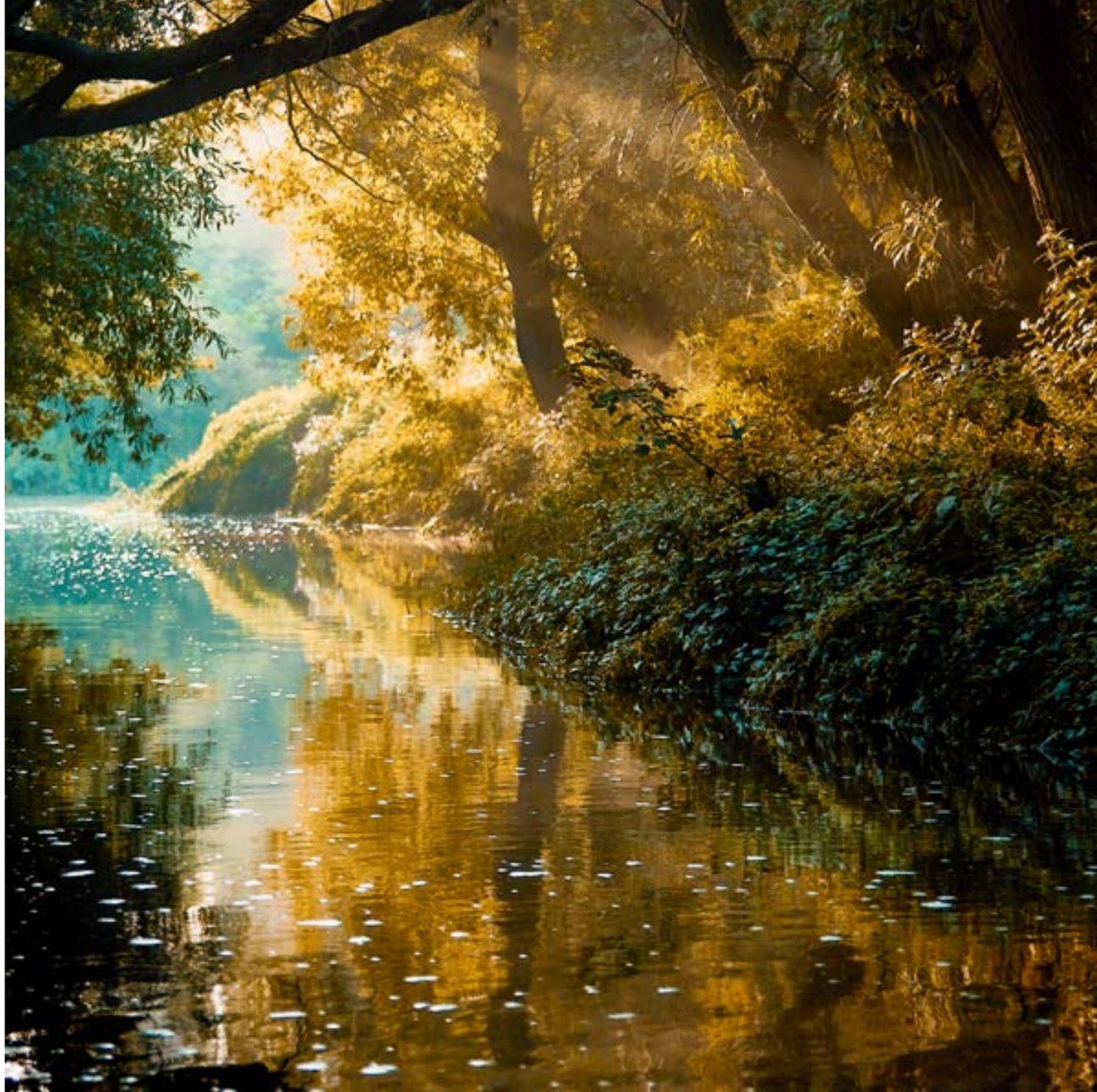

Diabeł z Krzywego Wału

Ech, dawniej na Starym Wisłoku co kawałek jakaś zjawa, topielec czy strzyga mieszkała. A już diabły to bez przerwy ludzi na pokuszenie wodziły. Nie to co dziś. Choć niewykluczone, że i dziś sobie działają, tylko już nie tak oficjalnie. Dawniej wszystko było proste. Taki diabeł Rokita to było wiadomo, że najchętniej przebywał na mokradłach, w lasach, a przede wszystkim lubił się chować we wnętrzach starych wierzb. Przebiegły był niesłychanie, a także nadludzko silny. Każdy wiedział, że trzeba na niego uważać. Na każdym rozstaju dróg ludzie krzyże dla bezpieczeństwa stawiali i kapliczki w miejscach, gdzie najczęściej Złego można było spotkać.

Zamieszkał sobie też taki diabeł na Krzywym Wale w jarze Starego Wisłoka. To takie miejsce na zachód od Łąki, przy drodze od strony Trzebowniska. W jednym miejscu łuk starego rzeczyska z asfaltem niemal się styka i to właśnie jest Krzywy Wał. Stąd dziś ludzie chodzą na wycieczki, żeby żab posłuchać i dudka wypatrzeć w czeremchach i olszach. Zawsze ładnie tu było, ale dawniej to jeszcze las się spory rozrastał, który potem po kawałku karczowano, by mieć więcej pola pod zasiew.

W tym to lesie nocami czart uparcie ludzi próbował opętać. Łatwo nie miał, bo po drugiej stronie drogi, gdzie boczna dróżka na północ od głównego traktu odchodzi – na „Okrągłą", jak te pola nazywano – krzyż stał i do dziś zresztą stoi. Niejednemu z naszych dziadów skórę i duszę on uratował. Kiedy tylko złe moce atakowały, biegli do Ukrzyżowanego, żeby za nim się schować. Wierzący, niewierzący, Żyd czy unita w ciemną noc nikt wśród świętych nie wybrzydzał. Raz pewien kupiec mojżeszowego wyznania też tego spróbował. Błąkał się ten opętany przez czarta nieszczęśnik po łąkach przez wiele godzin, aż w końcu w pobliże Krzywego Wału trafił. Dostrzegł krzyż i korzystając

z nieuwagi Złego rzucił się, by go objąć. Klęczy i krzyczy: „Panie Jezusie Franka i Kaśki, ratuj mnie! Ratuj!” I go Pan Jezus uratował, bo też nie patrzył, do kogo Żyd za dnia się modli, tylko, że to Jego, znaczy Boże, stworzenie jest.

Różnych sposobów diabeł z Krzywego Wału się chwytał, by ludzi zniewolić i na zatracenie poprowadzić. Kiedyś nocą szedł tędy żołnierz do domu, bo dostał przepustkę na parę dni. Północ właśnie zbliżała się, więc sobie po cichu różaniec odmawiał, aby w godzinie duchów modlitwą zmory odstraszyć. Zbliża się do jaru, a tam z szuwarów ktoś jęczy, jakby się topił. Żołnierz przywykły, że ratować trzeba, zatrzymał się.

„Kto tu o tej porze na kąpiel się skusił?”, pomyślał. „Albo nieszczęśnik z karczmy wracał i po ciemku wpadł do wody, albo Zły mnie dopaść próbuje”. Dobre bowiem miał rozeznanie w terenie ten wojak i dobrze wiedział, gdzie najwięcej starszy. Ale że nie takie strachy na polu bitwy widział, nie zląkł się, tylko ostrożnie zbliżył do trzciny nad wodą i zza pasa wyciągnął bagnet. W wodzie wciąż się ktoś szamotał i chlipał zrozpaczony. Co było robić, przecież to chrześcijański obowiązek nieszczęśnika ratować. Wsunął więc żołnierz bagnet między szuwary i woła:

– Chwyć się, człowieku, to cię wyciągnę.

Topielec jakby zamarł.

– No, chwytaj – powtórzył żołnierz i jeszcze dalej bagnet nad wodę wysunął.

Coś wściekle jak pies zawarczało w ciemnościach. Zabulgotało, zakotłowało się i zapadła kompletna cisza. I domyślił się, żołnierz, że święcony bagnet takie wściekłe obrzydzenie w topielcu wzbudził. Widać to żaden człowiek, a diabeł do wody go wabił. Aż mu włoski na karku stanęły, kiedy pomyślał, co by się stało, gdyby do wody za tym wołaniem wlazł. Przeżegnał się i spokojnie już do domu poszedł. Dobrze jednak zrobił, że podjął próbę ratowania topielca, bo prawdą było, że chłopom wracającym z jarmarku w Rzeszowie zdarzało się w karczmie zabawić, i niejeden wpadł potem do wody, bo mu się w głowie od trunków kręciło. Na takich diabeł też czyhał, bo wiedział, że nietrzeźwy trzeźwo nie myśli, to i łatwiej go oszukać.

Pewnego razu wracał taki nietrzeźwy chłop z jarmarku. Jesień już była i chłodna mgła szła znad wody Starego Wisłoka, ale jemu było ciepło. Zgrzał się nawet, bo na kark założył ciężkie chomąto, które dla konia kupił. Na polach zapalały się błędne ogniki, ale szedł pewnie i bez strachu. A czegóż to niby miał się bać? Na odpuście w Krzemienicy dawno już zaopatrzył się w uzbrojenie na złe duchy – wszelkie te zmory, zjawy, upiory, topielice i boginki. Kupił tam sobie szkaplerz karmelitański i pasek św. Franciszka, które ochronić go miały przed ogniem piekielnym. Miał je teraz na sobie, więc dziarsko przebierał nogami, by jak najszybciej dotrzeć do swej chaty.

Właśnie zbliżał się do Krzywego Wału, kiedy na mostku nad wodą zamajaczyła jakaś postać. Cudzoziemska jakby. Odziana we frak, cylinder, wąskie spodnie…

„Podróżny z daleka musi jechać i pewnie kareta mu po drodze zaszwankowała", pomyślał chłop i zaczął się rozglądać za wehikułem dziwacznego jegomościa. Bystro nie myślał i umysł widać mocno miał trunkiem zamroczony, skoro nie dostrzegł rzeczy, które od razu powinny go ostrzec.

Cudzoziemiec zamiast butów miał kopytka. A spod fraku wystawało coś na kształt ogona!

Każdy wie, komu takie cuda na ciele wyrastają, ale nie nasz bohater.

– Interes mam dla pana – powiedział przymilnym głosem ten niby-cudzoziemiec.

Chłopa zatkało, bo nigdy jeszcze takie panisko panem go nie nazwało. „Na pewno cudzoziemiec i to z krajów gdzie zupełnie inne obyczaje panują", pomyślał. A tamten mówił dalej.

– I ja kupiłem dziś chomąto, ale na mojego konia nie pasuje. Zamieńcie się, bo wasze wydaje mi się większe. Moje wprawdzie strojniejsze niż wasze, bo suto za nie złotem zapłaciłem, ale zamienię się bez dopłaty. Wchodzicie w to?

– A pewnie, że wchodzę – zawołał chłop ochoczo i już swoje skromne chomąto z szyi ściąga i nieznajomemu podaje. Tamten w zamian wyciąga to cudo, które zachwalał, zdobne w złociste sprzączki, piękne i kuszące. Złapał chłop zdobycz i myśli, że Pana Boga za stopy złapał. A cudzoziemiec jakby myśli chłopa usłyszał, bo od razu wysyczał: – Wy mi tego jegomościa z nieba do interesu nie mieszajcie – i odsunął się jeszcze dalej od chłopa. Może z powodu szkaplerza, który w tym samym momencie wysunął się nieszczęśnikowi zza koszuli.

Rozmowa już się nie kleiła. Chłop ukłonił się grzecznie cudzoziemcowi.

– Z Bogiem zostańcie – na pożegnanie rzucił, na co tamten jeszcze groźniej warknął, i poszedł z nowym błyszczącym chomątem w stronę Łąki.

Dotarł do chaty, chomąto schował w komorze i położył się spać. Jeszcze tylko zaspanej żonie wyszeptał, że interes życia zrobił, i zasnął. Budzi się rano i leci do komory, żeby nabytkiem całemu światu się pochwalić. A w komorze … – nic. Kupka ziemi zamiast złocistych sprzączek i cud urody chomąta.

– Dobrze żeś cało uszedł – pocieszyła go żona, bo dobrze wiedziała, że złoto złotem, interes interesem, ale zdrowie, życie i ocalenie duszy są najważniejsze.

Jak chłopi łączy przed Tatarami się skryli

„Tatary idą! Tatary!” Jak błyskawica przeleciały przez wieś straszliwe słowa, siejąc przerażenie. Czambuł szedł od wschodu. Był jeszcze daleko. Ale czerwona łuna, hen za Łańcutem wskazywała, skąd nadciąga zagrożenie. Tam właśnie ordyńcy podpalali kolejną wioskę. Z dymem poszły kościoły pod Przeworskiem, paliła się świątynia w Markowej i Kosinie. Skośnooka armia nie znała litości.

W Łące chłopi wpadli w popłoch. Kto jeszcze był w polu, rzucił wszystko i pędził do domu dobytek ratować, siebie ocalić. Ale kto zdoła się ocalić przed tą dziką armią, kiedy zbrojnych żadnych we wsi nie ma? Pan Opaliński w Leżajsku, czy jego dwór Tatarom się oprze? A może w kościele pod obrazem Matki Bożej się schronić?

– Już ona tym w Kosinie nie pomogła, cały kościół z ludźmi w środku spalili – wydyszał Maciej, który skądś przybiegł i języka widać gdzieś dalej zasięgnął, bo teraz grozę miał w oczach i czapką o ziemię cisnął zdenerwowany.

Stali wszyscy na drodze między chałupami, których strzechy tak łatwo ogień mógł zająć, i dróg ratunku szukali.

– Spalą i nas, w jasyr wezmą – płakały kobiety. I po prawdzie to właśnie całej Łące groziło. Straszne plemiona znad Morza Czarnego i z Azji żyły z grabieży i handlu niewolnikami. Nie uprawiali ziemi, nie specjalizowali się w rzemiośle, tylko napadali innych. Po ludzi i po łupy wyprawili się aż na ziemie Rzeczpospolitej. Na bezbronne wioski spadali jak grom z jasnego nieba. Palili domy, zabijali starców, gwałcili kobiety

i kogo się dało w jasyr brali. Najchętniej młodych, za których dobrą cenę mogli dostać na targu niewolników w Stambule. Handlarze najwięcej płacili za silnych mężczyźni oraz urodziwe kobiety. Ale dzieci i starszych także w niewolę brano. Jeńcom zarzucano na szyję powrozy i pędzono niczym bydło na południe. Ordyńcy na koniach poganiali pojmanych i jeszcze nahajkami bili nieszczęśników, nie przejmując się trupami zostawianymi po drodze.

Może i lepiej było trupem paść, zamiast trafić na galery i tam w mękach żywota dokonać. Bo właśnie na galery sprzedawano silnych, młodych mężczyzn. Pod pokładami statków, przykuci do wioseł, tracili wszelką nadzieję. Kobiety trafiały do haremów, a z dzieci wojska janczarów tworzono, przerabiając dorastających chłopców na bezwzględnych i fanatycznych wojowników.

A teraz właśnie na Łąkę szła orda gorsza od wszystkich poprzednich. Kantymir Murza stał na czele Tatarów, którzy jak fala sztormu runęli na polskie ziemie, by brać tysiące jeńców. Nosił przydomek Krwawy Miecz i budził powszechne przerażenie.

– Nie ryczcie! Szybko brać dzieci! Musimy się skryć! – krzyknął Maciej do swoich sąsiadów.

– Ale gdzie?

– Do lasu, na bagniska nad rzeką – odpowiedział, bo pełen gąszczy i zakamarków jar Wisłoka, od razu wydał mu się najlepszą kryjówką. Bo to nie raz zakładał tam wnyki na borsuki albo ryby szedł łowić? W gęstych zaroślach człowiek był prawie niewidoczny, a kiedy jeszcze znał każdy zakręt rzeki, każdy jej bród i grzęzawisko w zakolu, łatwo mógł ujść pościgowi.

– Bydło zostawimy, byle nie w oborach, bo jak pochodnię rzucą, to woły żywcem się spalą. A tak przecież ze sobą stada nie pogonią, bo o ludzi najbardziej im chodzi. Konie tylko weźmy, puści się je na leśnej łące na popas, może ich nie znajdą – zarządził Maciej, a łączy go posłuchali, bo nieraz już roztropnością im zaimponował. Połapali więc dzieci, w pierzyny maleństwa zawinęli i do jaru Wisłoka ruszyli.

Czas był już wielki. Czambuł nasycił się pożogą pod Łańcutem i pędził traktem w stronę Rzeszowa, nie przepuszczając żadnej osadzie po drodze. Ledwo ratujący się ucieczką chłopi dotarli do drzew koło Krzywego Wału, pierwszy ordyniec wpadł do Łąki. Zaczęli od dworu, który był najbliżej. Brama i palisada dworskich tam nie ochroniła. A o ludzi Tatarom szło najbardziej. Rację miał Maciej. Bydło zostawili. Ale bronią siekli naokoło tak, że moc ludzi zabili, a pozostałych pogonili na powrozach. Wieś leżała nieco dalej na zachód, więc ją dopadli w następnej kolejności. Ale co to? Puste chaty? Woły tylko w zagrodach same stoją. Wściekłość zabarwiła krwią tatarskie policzki.

– Gdzie jasyr nasz? – wrzeszczy tatarski dowódca i pierwszy rzuca pochodnię na chłopską strzechę. Jedna od drugiej chałupa w lot się ogniem zajęła. – Może w swoim świętym domu się skryli? – domyśla się Tatar i ordyńcom drogę do kościoła wskazuje, bo mu ją już jeden chłop ujęty parę dni wcześniej zdradził.

Kościół św. Marcina stał jednak cichy i głuchy. Nikt go w twierdzę nie zamienił, ani obrony nie przygotował. Ksiądz też się gdzieś schował, kiedy wpadli do środka. Czy byli ogniem już wystarczająco zmęczeni, czy szkoda im było czasu na walkę z pustymi ścianami, że spalić go nie spróbowali? Matki Bożej raczej się nie zlękli, bo splądrowali świątynię dokładnie i żadnego naczynia liturgicznego nie zostawili. Wszystkie zgarnęli do swoich tobołków z łupami. Ale ognia nie podłożyli.

Dowódca może liczył, że łączcy chłopi wrócą na noc, by tu się jednak schronić. Miałby ich wtedy jak na talerzu. Teraz jednak gnał z czambułem dalej, bo pod Rzeszowem większych sił trzeba było, żeby zamek Spytka Ligęzy zdobyć.

Chłopi w zaroślach nad Wisłokiem siedzieli jak mysz pod miotłą. Czambuł minął ich przed chwilą i przez zarośla widzieli i okrągłe spiczaste czapeczki, baranie kamizele, kaftany z szarego sukna i szerokie szarawary. Tatarzy jechali na niskich, krępych konikach i popędzali setkę już chyba jeńców, których dziś ujęli. Maciej rozpoznał dworskich w tej kolumnie i żal mu ścisnął serce, chociaż z dworem wielka przyjaźń go nie łączyła. Kiedy ostatni nieszczęśnik zniknął za zakrętem, Zośka, sąsiadka jego, cichutko bliżej drogi się przysunęła.

– Pojechali? Pojechali? – szeptem zapytała.

– Pojechali. Mogą wrócić – odpowiedział Maciej. Bał się, że na czatach jakiś Tatar został. Czambuł był niedaleko i wezwany łatwo mógł zawrócić.

Zbliżał się wieczór. Ludziom zimno nie było, bo czerwcowe noce są bardzo ciepłe. Mogli tu przesiedzieć nawet kilka dni. Uradzili też, że tak będzie najlepiej. Jedyny problem, to jedzenie. Nie zabrali ze sobą wiele, bo uciekali przecież w pośpiechu. Bochenek chleba co któryś złapał i tyle. W lesie jagód i borówek jeszcze nie było. Ledwie trochę leśnych malin znaleźli. Następnego dnia jeszcze resztkami chleba się pożywili, ale już na wieczór nic nie zostało.

– Pójdziemy do wsi, coś przyniesiemy. Przemkniemy się od łąk do chat. Krowy wydoimy, maleszki ugotujemy – oświadczyła Zośka. Była to sprytna kobieta i zaradna. Zebrała jeszcze kilka sąsiadek i wybierały się do wsi. Maciej wahał się przez chwilę, czy im pozwolić, ale wspólnie wszyscy uradzili, że bezpieczniej coś we wsi ugotować niż w lesie ognisko palić i dymem zdradzić kryjówkę całej gromady. Jak uradzono, tak i zrobiono.

Kobiety poszły lasem, a potem ostrożnie przekradły się w stronę chat. W oczach stanęły im łzy. Na miejscu zastały pogorzelisko. Część chałup spłonęła, część jeszcze stała, ale nadpalona i bez dachu. W powietrze wciąż unosił się dym. „I dobrze", pomyślała w rozpaczy Zośka. „Jak tu jeszcze w okolicy jakiś Tatar jest, nie pomyśli, że ktoś tu strawę warzy. I jak obiecała, razem z innymi za zebranie prowiantu się zabrała.

– Bogu chwała, że wracacie. A Tatary jeszcze są? – wszyscy zaczęli pytać, kiedy kobiety w las wróciły. – Chyba poszli. Popalili, popalili naszą Łąkę – załkały. – Moglimy w jasyr pójść – pocieszał Maciej. I usiadł z wszystkim na trawie, by zjeść to, co dzielne kobiety przyniosły. Następnego dnia już z nimi poszedł, sprawdzić, czy jest bezpiecznie. Nawet do kościoła ostrożnie zajrzał i ucieszył się, że cały. Pod dworem człowieka wielmożnego pana Opalińskiego spotkał.

– Rzeszów się obronił, ale w Zaczerniu kościół spalili. Pleban ocalał, bo z chłopami w lesie, w Tajęcinie się schronił. Nie jest jeszcze bezpiecznie – usłyszał Maciej od posłańca i z tą wieścią do lasu wrócił. Kobiety znów jedzenia z wioski przyniosły. I tak karmiły ukrytą gromadę jeszcze przez następny dzień. Dopiero po kilku dniach chłopi do swoich spalonych zagród powrócili. Za odbudowę musieli się brać, bo innego wyjścia nie było. A zakole Wisłoka nieopodal Krzywego Wału, w którym tak dobrze się ukryli i w którym baby jedzenie im podrzucały, odtąd nazywali Kątem u Baby.

Istnieje on do dzisiaj, chociaż po dawnym wartkim Wisłoku już tylko rzeczysko Stary Wisłok zostało. Mniej w nim wody i nie takie jest już głębokie jak przed wiekami, ale meandry i kąty zostały te same. I nawet wśród drzew wciąż można się skryć.

Jak królową Jadwigę Wisłok uratował

– Wiesz córciu, biegł niegdyś przez Łąkę stary szlak kupiecki.

– Ale dokąd, tato?

– Ze wschodu na zachód prowadził.

– Czyli daleko?

– Aż na Ruś. Szeroka droga szła od Krakowa przez Rzeszów, Staromieście i Trzebownisko, wzdłuż Starego Wisłoka, aż do rzecznej przeprawy pod Strażowem…

– To w Strażowie była przeprawa?

– No jasne. A Stary Wisłok to nie był wtedy jeszcze Stary Wisłok tylko normalna rzeka Wisłok, która teraz trochę inaczej płynie, bo zmieniła koryto. No i w Strażowie się przez nią przeprawiano, żeby potem jechać dalej na Przeworsk i Jarosław, gdzie słynne jarmarki się odbywały. Posłuchaj…

***

Ta szeroka droga nie wyglądała jak dzisiejsze autostrady. Ba, nawet nie była kamieniem utwardzona, ale pełna wertepów i błota. Wiodła przez rzeczne brody i drewniane mostki, często środkiem puszczy – jak pod Rzeszowem. Okoliczne wioski otaczały tu ogromne lasy, pełne dostojnych dębów. Trakt zatem nie był luksusowy, ale w tamtych czasach innego nie było i nikt nie grymasił. Podążały tędy różnej maści wojska i kupieckie wyprawy.

Pewnego razu nawet i królowej Jadwidze, żonie króla Władysława Jagiełły zdarzyło się tędy jechać. Do Krakowa wracała z Łańcuta. Jej orszak prezentował się wyjątkowo bogato. Ozdobne karety, strojone damy i pazie, wypielęgnowane konie były jasnym znakiem dla mieszczan, że ktoś znaczny jedzie. W puszczy jednak przyciągnęły uwagę zbójców. Groźna banda uznała, że ma szansę na łatwy łup. Rabusie nie zorganizowali jednak zasadzki, bo o przejeździe orszaku wcześniej nie widzieli. Dopiero, kiedy pierwsza kareta minęła ich kryjówkę, zorientowali się, jaka okazja im się trafia. I rzucili się w pogoń za podróżującą świtą.

Orszak królowej na ich litość nie liczył. By ujść bandytom, przeprawił się przez Wisłok i gnał środkiem puszczy przez stary kupiecki szlak. Nie wiadomo, jak skończyłaby się ta ucieczka ciężkich karocy przed zbójcami, gdyby królowej na pomoc nie przyszła sama rzeka, która wzdłuż drogi spokojnie do tej pory sobie płynęła.

Wisłok nagle nabrał życia. Kiedy tylko zdawało się, że rabusie dopadają królewski orszak, woda pojawiała się w wykrotach na drodze, a rzeka skręt nagły robiła, zastępując pogoni drogę. Kiedy tylko bandyci z przeszkodą się uporali, znów nabierali rozpędu i znów karety zdawały się być w ich zasięgu. Ale wtedy Wisłok powtarzał manewr z wodą, nurtem nowym na ich drodze stawał. Trwało to długo, bo banda poddać się nie chciała i widać w głowie rabusiom się nie mieściło, że rzeka może im szyki popsuć. A jednak…

Orszak z pomocą rzeki, która jego tyły osłaniała, bezpiecznie dotarł do Rzeszowa. Może natura pomogła królowej, bo wiedziała, że to przyszła święta jedzie? Trudno powiedzieć, ale po tym zdarzeniu do dziś w Strażowie, Palikówce i Łące pamiątka została – zarośnięte Stare Wisłoczysko, które ostrymi zakolami wije się tak, jak kiedyś Wisłok przez drogę przepływał, by Jadwigę ratować.

Skarb konfederatów

Idąc od Krzywego Wału w Łące spacerkiem wzdłuż Starego Wisłoka, popatrzeć można na Rzeszów. Między meandrami dawnej rzeki wychodzi się na rozległą niwę. W pogodne popołudnie, późnym latem człowiek przystaje zaskoczony. „Ech, jak tu pięknie", myśli patrząc na daleki horyzont. Do oczu wpada mu kawał świata. Od południowego-zachodu otwierają się widoki na Załęże i Pobitno, od wieków najbliższe królewskiej wsi Łąka.

Dziś to dzielnice miasta, ale kiedyś były samodzielnymi osadami. Ludzie osiedlali się nad rzeką od pradawnych czasów. Pobitna, a jeszcze wcześniej Powietna, była ściśle powiązana z Załężem, które nawet nazywało się Powietna Dolna. Obie Powietne, jak i Łąka, leżały przy dawnym „ruskim szlaku". I choć patrzyły na siebie z przeciwległych stron dawnego Wisłoka, to łączyła je droga i niejedna historia.

Ot, choćby tajemniczy Kopiec Konfederatów Barskich na Pobitnie. Różne o nim opowiadają historie. Mówią, że w dawnych wiekach u stóp tej góry obóz rozłożyło wojownicze plemię, które wędrowało przez nieprzebytą puszczę. Wzgórze osłaniało ich przed silnym wiatrem, więc miejsce to nazwali Powietrznym, co potem przekształciło się w Powietną. Młody wódz lubił mięsiwo, więc często polował i daleko ze swymi towarzyszami w lasy się zapuszczał. Nie tylko tu, gdzie Łąka dziś leży, ale pewnie i dalej jeszcze. Razu pewnego dzik go zaatakował i ranił poważnie. Szablami rozorał mu ciało tak, że wdało się zakażenie. Znachor żaden wodza nie zdołała już uratować. Leżał bez sił, coraz słabszy i słabszy, aż pewnego dnia zmarł. Wtedy na kopcu go pochowali i usypali kurhan, by upamiętniał jego męstwo i bohaterskie czyny.

W późniejszych czasach tyle pod tą górą bitew różnych się toczyło, że Powietna na Pobitną – po bitwach – została przechrzczona. Z góry był widok na całą okolicę. Wypatrywano więc nieprzyjaciela. W czasach okrutnych tatarskich najazdów czuwała tam straż, gotowa w każdej chwili podpalić drewniany stos, który był tam ułożony, by ostrzec wszystkich przed ordyńcami. Długo, długo jeszcze potem Tatarską Górą Kopiec Konfederatów Barskich nazywano. Ale był i powód, by konfederatom to miejsce poświęcić. Niedaleko się bili, a powiadają, że i w Łące pamiątkę zostawili.

***

– Prędko, prędko. Tędy da się przejść – poganiał swoich towarzyszy komendant Franciszek. Las gęstniał i coraz trudniej było omijać zwalone pnie i wykroty. Zwłaszcza, kiedy ciężką wojenną kasę dźwigało się na spółkę. W dodatku po burzy i ulewie było ślisko, a woda spływająca z liści i gałęzi wpadała od czasu do czasu za kołnierz niczym zimny prysznic.

Szli we trzech. Część konfederackiej straży została kawałek dalej w lesie. Taki był rozkaz komendanta. Wybrał najbardziej zaufanych do tej misji, a pozostałym kazał pilnować, by jakieś wścibskie oczy ich nie wyśledziły. Czasu wiele nie było, a sytuacja zmieniała się błyskawicznie. Dopiero sami gonili rosyjskich żołnierzy przez przeprawę na Starym Wisłoku, a już Moskwa zawróciła szyki i to ona deptała im teraz po piętach.

– Panie komendancie, może my dońców zaraz znów siec będziem? – wysapał Józef, któremu widać potyczka z donieckim Kozakiem się marzyła, a i dźwigana kasa z każdym krokiem cięższa mu się wydawała. Musiało w niej być dukatów po brzegi.

– Dali Bóg – odpowiedział Franciszek i westchnął w myślach, bo jednak łaskawości niebieskiej już od dłuższego czasu im brakowało. Właściwie odkąd tylko oddział konfederacki księcia Jerzego Marcina Lubomirskiego z oddziałem Filipa Radzimińskiego, regimentarza konfederacji przemyskiej, złączył się, większość rzeczy szła nie po ich myśli.

– A pamiętacie, co się stało dwa tygodnie temu pod Lwowem? Jak nas Kozacy Pietrowicza od tyłu zaatakowali? Jak bagaże księcia okradli? Jak zabrali nam kotły, bębny, amunicję i książęce powozy? Nigdy nie wiadomo, lepiej dukaty schować, żeby w łapy wroga nie wpadły – powiedział głośno.

To pod Lwowem dowództwo się pokłóciło i podzieliło kontyngent, zarządzając odwrót przed nadciągającymi Rosjanami. Dopiero teraz znów Lubomirski i Radzimiński walczą razem. Książę zebrał kilkuset żołnierzy i przybył z odsieczą, kiedy Radzimiński oblężony w Rzeszowie, wezwał go na pomoc. Do miasta jego oddział przybył dziesięć dni temu, 3 sierpnia. Oj nie witali ich mieszczanie z otwartymi rękami. Wiadomo, wojna kosztuje. Kontrybucję musieli wojsku zapłacić, a jeszcze pod ostrzał armat trafili. W dodatku kraj podzielony. Nie wszyscy popierają konfederatów, którzy sprzysięgli się przeciwko protektoratowi Imperium Rosyjskiego i królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu. Moskwa przekupuje i knuje, a wielu tylko o swoich ambicjach i interesach myśli, a nie o Rzeczpospolitej. Iluż to nawet w szeregach konfederacji jest lawirantów? Dlaczego na zamku rzeszowskim nie powitała ich Joanna Lubomirska, tylko wolała pospiesznie wyjechać? „Nic to", żachnął się w myślach Franciszek i wyżej kołnierz podciągnął, bo chłód go nagły przeleciał. Wiatr powiał od wody. Schodzili powoli jarem Starego Wisłoka ku nieruchomej tafli.

Gdzieś z dali słychać było odgłosy bitwy. „Dziś się zdecyduje", pomyślał Franciszek. Na wroga w rzeszowskim zamku czekali tydzień. Tysiąc konfederatów i tylko dwie armaty. Nieprzyjacielskie patrole na wzgórzach pod Rzeszowem pojawiły się dwa dni temu, 11 sierpnia. Udało się im ściągnąć posiłki, więc przeciw Moskalom mieli dziś już dwa tysiące. Niestety, tamci także dostali wsparcie, więc wystawili trzy tysiące bagnetów i jeszcze ze trzy kozackie sotnie. Ale los bitwy nie był przesądzony.

„Nawet nieźle dziś Moskali pogonili", uśmiechnął się komendant pod wąsem. Tamci wprawdzie nie dali się wciągnąć w zasadzkę pod zamkiem, ale pod górą w Powietnej już tacy silni nie byli. Cofali się najpierw w kierunku powiecińskiej karczmy. I tam na chwilę barykadę sobie zrobili. Ale wystarczyło raz armatą strzelić, by ich wypłoszyć. Potem

była pogoń przez rzekę, przez bród na Starym Wisłoku i dalej wzdłuż rzeki, dopiero koło młyna wróg skutecznie kontratakował. Dlatego umyślili kasę konfederacką ukryć, bo kto wie jak długo będą sobie tyły podgryzać.

Pod butami zachlupała woda. Na brzegu bywało miejscami grząsko.

– Tu ją zatopimy – powiedział swoim żołnierzom Franciszek.

– Komendancie, a jak utonie na dobre?

– No, utonie, bo ciężka jest, ale i dalej nie popłynie. Bez trudu ją w tym miejscu znajdziemy i wyciągniemy.

– A jak nas zabiją i nie wrócimy po te dukaty?

– To ktoś kiedyś skarb znajdzie – odpowiedział, ale już po cichu myślał, jak miejsce zaznaczyć i komu wskazówki przekazać. – Napiszcie na niej rok, żeby znalazca wiedział, kto skrzynię zatopił – zażartował. Ale oni wzięli te słowa na serio. Józef złapał bagnet i na wieku wyrył: „A.D. 1769".

A potem kasę z dukatami na samym środku rzeki zatopili. Chłopi z pobliskiej Łąki mówili, że tu, w Gacowym Kącie, Stary Wisłok jest najgłębszy. Tak powiedzieli zwiadowcom, których Franciszek tydzień temu do wsi wyprawił. Kazał wypytać o rzekę, bo w przeprawach wojska to pierwsza rzecz znać brody i głębiny. O zatapianiu dukatów jeszcze wtedy nie myślał. „Wrócę po nie", obiecał w sobie w myślach. Ale, czy to na wojnie można sobie coś obiecać albo do życia łańcuchem się przywiązać? Jeszcze tego samego dnia komendant Franciszek zginął od kozackiej kuli. Jego towarzysze po skrzynię też nie wrócili. W każdy razie nie w tamtych dniach. Teren opanowali Moskale. Zmusili konfederatów do odwrotu na Rzeszów i chociaż miasta już tego dnia nie zajęli, to zrobili to kilka dni później, kiedy Lubomirski i Radzymiński nie widząc szans na zwycięstwo, postanowili się wycofać w kierunku Kolbuszowej i Sanoka.

***

Ktoś jednak wtedy śledził konfederatów ze skrzynią. Był to mały Ignaś, który tego dnia wymknął się z chałupy, chociaż matula krzyczała, żeby do lasu się nie zbliżał, bo wojsko po okolicy grasuje i strzela. On jednak poszedł i na Wisłoczysku żołnierzy z cennym ładunkiem zobaczył. Rozmowę też podsłuchał. A potem codziennie zaglądał do Gacowego Kąta, czy ktoś po dukaty nie wrócił. Nigdy nikogo nie spotkał.

Marzył, że skrzynię sam wydobędzie, dlatego długo nikomu tajemnicy nie zdradzał. Kiedy tylko nauczył się dobrze pływać, nurkował na głębinie za tym skarbem. Wiele razy, lecz na próżno. Diabeł dukaty nakrył ogonem, czy co? Ludzie zawsze straszyli, że tu w dawnym korycie Wisłoka, pełno zjaw, wodnych nimf i duchów mieszka. Ale Ignacy w takie bajki nie wierzył i nie bał się tu przychodzić nawet nocą. Skrzyni jednak nie odnalazł. Kiedy już był stary, powiedział o niej swojemu wnukowi – Tomusiowi. Tomuś widać uwierzył, bo potem przez wiele lat na głębinę wypływał i długą na pięć metrów żerdzią po dnie szturchał. Nigdy jednak o wieko skrzyni nie uderzył. Czy w mule tak głęboko się zagrzebała, czy Ignacemu jej zatopienie się śniło? Już tylko szczęśliwy znalazca istnienie skarbu, mógłby potwierdzić. Szukać pewnie wciąż będą. Bo na świecie nie brakuje przecież marzycieli.

Zły, co w kogucie siedział

Było na zielonych pastwiskach i polach między Łukawcem a Łąką takie miejsce, którędy tylko za dnia ludzie starali się chodzić. Kto nocą tam trafił, nieprędko do domu wracał. Błąd, czyli zły duch tam siedział, który wędrowców po manowcach wodził, bywało, że aż do świtu. Tak, że czasem to i dwie mile taki człowiek zrobił, zanim do celu trafił.

Nie tylko nogi od plątania się dróg w ciemnościach bolały. Na tych wertepach strasznie też bywało. Omamiony przez Złego biedak krążył po manowcach wraz z błędnymi ognikami. Uczeni mówią, że te ogniki to nic innego jak samozapalające się gazy, które powstają nad mokradłami, wydobywając się z gnijących szczątków roślin i zwierząt. Mądrale! Skąd to niby na wsi ludzie mieli wiedzieć o gazach, kiedy tylko jedną czy dwie klasy kończyli? Wymyślili więc, że błędne ogniki to dusze błądzące, które muszą po ziemi się potułać, zanim do nieba trafią. Nie ich się jednak obawiano najbardziej, ale samego Złego, który różną postać przybierał.

Bywało, że przed człowiekiem wyrastały nagle straszne psy – czarne jak noc z błyszczącymi ślepiami. Albo ogromny kogut ni stąd, ni zowąd się pojawiał. Cały czerwony. Skrzydłami trzepotał i okiem świdrującym w biedaka na manowcach się wpatrywał. Ani mrugnął, jakby nie miał powieki.

Coś wyło w oddali, jęczało w trawach. Więc pędził nocny wędrowiec coraz bardziej przerażony i drogę gubił, i błądził nieszczęsny do czasu aż pierwsze oznaki świtu pola na szaro barwić zaczynały, a ciemność powoli się rozstępowała. Nad mgłami wyskakiwały złote promienie i trel skowronka rozlegał się nad łąkami. Wtedy droga do domu wreszcie się odnajdywała. Wędrowiec ze zdumieniem tylko odkrywał, że całą noc w kółko po niewielkim poletku łaził, jakby w zaklętym siedział kręgu, podczas kiedy wieś była na wyciągnięcie ręki.

– No to najprościej tam nie chodzić – tak Marysia i Jaś powiedzieli babci, która ich przed zmorami między Łukawcem a Łąką ostrzegała.

– Łatwo powiedzieć, moje dziecięta. Łatwo powiedzieć – westchnęła babcia. – Ja nie miałam wyjścia. Do pracy w łąckim folwarku musieliśmy wychodzić przed świtem, bo już z brzaskiem pracę się zaczynało.

I poleciała myśl babci do czasów pańszczyźnianych i do całej gromady podlotków i podrostków, która w drogę ruszała zanim jeszcze księżyc zbladł całkiem na niebie. Zaspani szli. Tylko największe gaduły próbowały rozbawić towarzystwo. Jednak nawet żartownisie tracili rezon, kiedy zbliżali się do miejsca, w którym złe duchy wędrowców na błędne ścieżki sprowadzały. Tak przynajmniej starzy ludzie ich ostrzegali. Ale, prawdę mówiąc, podążając do pracy raczej nie błądzili. Jednak tak dziwnie się składało, że zawsze w tej samej okolicy pianie koguta ich dobiegało. Mówią, że pianie koguta złe moce przegania, bo świt zwiastuje. Ich ten kogut jednak przerażał. Mogli wprawdzie pomyśleć, że pianie ode wsi to normalna rzecz i że kur swój koguci obowiązek spełnia. Ale dlaczego tylko jeden kogut tak donośnie witał świt? I jakim sposobem piać zaczynał dokładnie wtedy, kiedy ten sam kamień przydrożny mijali?

– To to nie był kogut? – Jaś i Marysia mocno się dziwili.

– Kogut, nie kogut. Zawsze się przeżegnać wolałam. Wszyscy zresztą krzyż na piersi robili. I jeszcze modlitwę od razu odmawialiśmy. Ale kogut piać nie przestawał. Już niektórzy do pracy nie chcieli tak wcześnie wychodzić, żeby Złego nie kusić. Aż wójt wpadł na pomysł, żeby kapliczkę tam postawić. I pianie dopiero wtedy się skończyło. A kapliczka stoi do dziś, „na rowach".

– Jak to? Podobno, postawiono ją obok cmentarza cholerycznego. Ponoć tam ludzi grzebano, kiedy zraza szalała po Łące i Łukawcu.

– Bo i tak, dzieci, być mogło – westchnęła babcia i uśmiechnęła się w myślach do starej o duchach i kogucie legendy.

Skrzypek czarodziej

Żył kiedyś w Łące skrzypek, jakich na świecie mało. Siłka go wołali. To, co on ze swoimi skrzypeczkami wyczyniał, to Jimi Hendrix dwieście lat później z gitarą w Ameryce robił. Śmigał smyczkiem po strunach, jakby z nim się urodził. Raz palcami szarpał, raz drzewcem wystukiwał rytm. Z lewej ręki do prawej instrument przerzucał. Na każdą stronę potrafił grać. Nawet za plecy skrzypce kładł i tylko jak łokcie się ruszają ludzie widzieli, a muzyka szalała po izbie tak, że nogi same do tańca się rwały. Czasem też rzewnie na skrzypkach zakwilił. Niejednemu chłopu wtedy na sercu ciepło się robiło, a kobietom łzy w oczach stawały.

Niejedna też się w nim kochała. Po prawdzie, to wielu serce złamał, bo choć przytulić potrafił, to żadnej wierności nie dochował. Żony mieć nie chciał. Sam w ubogiej chacie pod strzechą mieszkał. Tylko psa miał za towarzysza. Dużego i czarnego jak czart. Ludzie podejrzewali, że kusy diabeł w nim siedzi i duszy grajka pilnuje. Bo czy ktoś potrafiłby tak grać, gdyby duszy diabłu nie sprzedał? Inaczej tego ludzie wyjaśnić sobie nie potrafili.

***

Wtedy ponoć takich, co konszachty z duchami mieli we wsi nie brakowało. Toż i na skrzypka raz ktoś urok rzucił.

– Kaśka, ty słyszałaś? W samym środku wesela Maryśki, Siłce wszystkie struny popękały – zagadała Antośka. Karbowy akurat przerwę zarządził, więc przysiadły na miedzy, żeby coś zjeść.

– Nie, nie słyszałam – zdziwiła się Kaśka, więc Antośka ucieszyła się, że sensację dla sąsiadki miała.

– Ktoś urok uczynił. Siłka zaraz wyleciał z karczmy na pole. Złapał suchego siana, powrósło z niego ukręcił i do studni rzucił. Obleciał ją potem dokoła, coś pod nosem mamrotał, a na koniec do wody splunął.

– I co?

– W studni strasznie zawyło, a woda się zagotowała. Wtedy Janka, ta z Wilczych Dołów, zgięła się pół jakby ją w brzuch kto walnął. Tak ją zabolało. Rzuciła się Siłce do kolan i przepraszać zaczęła.

– I co?

– Darował jej. Struny naprawił i znów grał. Tak jak to tylko on potrafi – westchnęła Antośka, bo i jej skrzypek się podobał.

***

Może i aniołem Siłka nie był, a ludzie go lubili. Nie tylko za to zaczarowane granie, ale i życzliwy charakter. Pożartować potrafił, złości długo w sercu nie trzymał i rozsądku miał za dwóch. Szanowali go zatem, mimo że biedny był jak mysz kościelna. Chociaż biedaków rzadko kto słucha, to akurat do Siłki ludzie często chodzili po radę. I nie przeszkadzało im, że ksiądz klątwę na niego nałożył za omijanie kościoła. Pukali do drzwi chaty, przez próg przestępowali, którego pies pilnował i zwierzali się z sekretów, których innym powierzyć by się bali. Skrzypek słuchał, czasem coś podpowiedział, czasem tylko milczał i głową kiwał. Nikomu potem nie zdradził. Może też i dlatego tak graniem do duszy przemawiał, bo dusze ludzkie rozumiał?

Nikt nie żyje wiecznie, tak więc i na łąckiego skrzypka przyszedł czas. Zachorował zimą, kiedy ku przedwiośniu już się miało. Leżał w łóżku i żadne zabiegi mu nie pomagały. Znachor z Łukawca przychodził, ziół mu dawał i uroki odczyniał. Baby ciepłą strawę nosiły i pacierze odmawiały. A Siłka i tak był coraz słabszy. Ledwo już mówił, więc po księdza sąsiedzi posłali. Przyszedł. Myślał, że skrzypek na koniec się wyspowiada. Ale nawet w tym momencie razem nie po drodze im było. Słowa skruchy nie padły. Ksiądz poszedł.

– Poszedł? – wyszeptał Siłka z łóżka, do ściany odwrócony. – Niech idzie z Bogiem – dodał, kiedy przytaknęli. – Trzebaż i to wszystko – powtórzył, bo to było jego ulubione powiedzenie.

Wieczorem cicho umarł i w prostą skrzynkę go włożyli. W niej na cmentarz ponieśli. Mszy nie było jak odprawić, ale podzwonne w hołdzie zmarłemu ludzie chcieli bić. Na to znów ksiądz się nie godził i dzwonnicę zamknął. I wtedy rzecz się stała na wsi niesłychana. Kilku niepokornych, którym żal za grajkiem dusze przenikał, drzwi wieży wyłamało i do dzwonów się wspięło. A jak się na sznurach uwiesili, jak za nie szarpnęli, to mało na strzępy ich nie porywali. I grały dzwony, i grały jak nikomu przedtem, jak i grajek kiedyś im grał. Nawet, kiedy łączcy chłopi z cmentarza powrócili i w karczmie za zdrowie Siłki wypili.

Duch z pałacowej wieży i lwica z Warszawy

– Matka mi wszystko powiedziała. To ja o tobie myśleć nie przestawałem, dnia nie było, żebym nie tęsknił, twój kosmyk włosów jak relikwię całowałem, a kiedy przyjeżdżam, co słyszę? Że do Józefa słodko się śmiejesz? Mojego brata uwodzisz? – krzyczał i potrząsnął ręką, w której ściskał pistolet. Wpadł z nim przed chwilą do pokoju Laury wściekły i zrozpaczony.

– Januszku, ona kłamie! Kłamie! Twoja matka kłamie, bo mnie nienawidzi – zapierała się przerażona Laura.

– Kłamie? Odkąd wróciłem, nieraz wam się przyglądałem. Te słodkie oczy, te porozumiewawcze uśmiechy, ta poufałość, która się między wami pojawiła. Nie, nie, nie. Widziałem! Zrozumiałem. Zabiję – zawołał podnosząc pistolet. – Nie. Proszę – łkała Laura, a on przyłożył sobie lufę do skroni i nacisnął spust. Huk ogłuszył ją i przez chwilę nie rozumiała, co się stało. A potem spojrzała w dół. Mąż leżał u jej stóp – Janusz Ignacy Czosnowski, były żołnierz wojsk polskich, powstaniec. Z jego głowy płynęła strużka krwi.

Był wtorek, 13 grudnia 1831. W łąckim pałacu właśnie zaczynały się przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. Trzeba je było przerwać i zająć się organizacją pogrzebu.

***

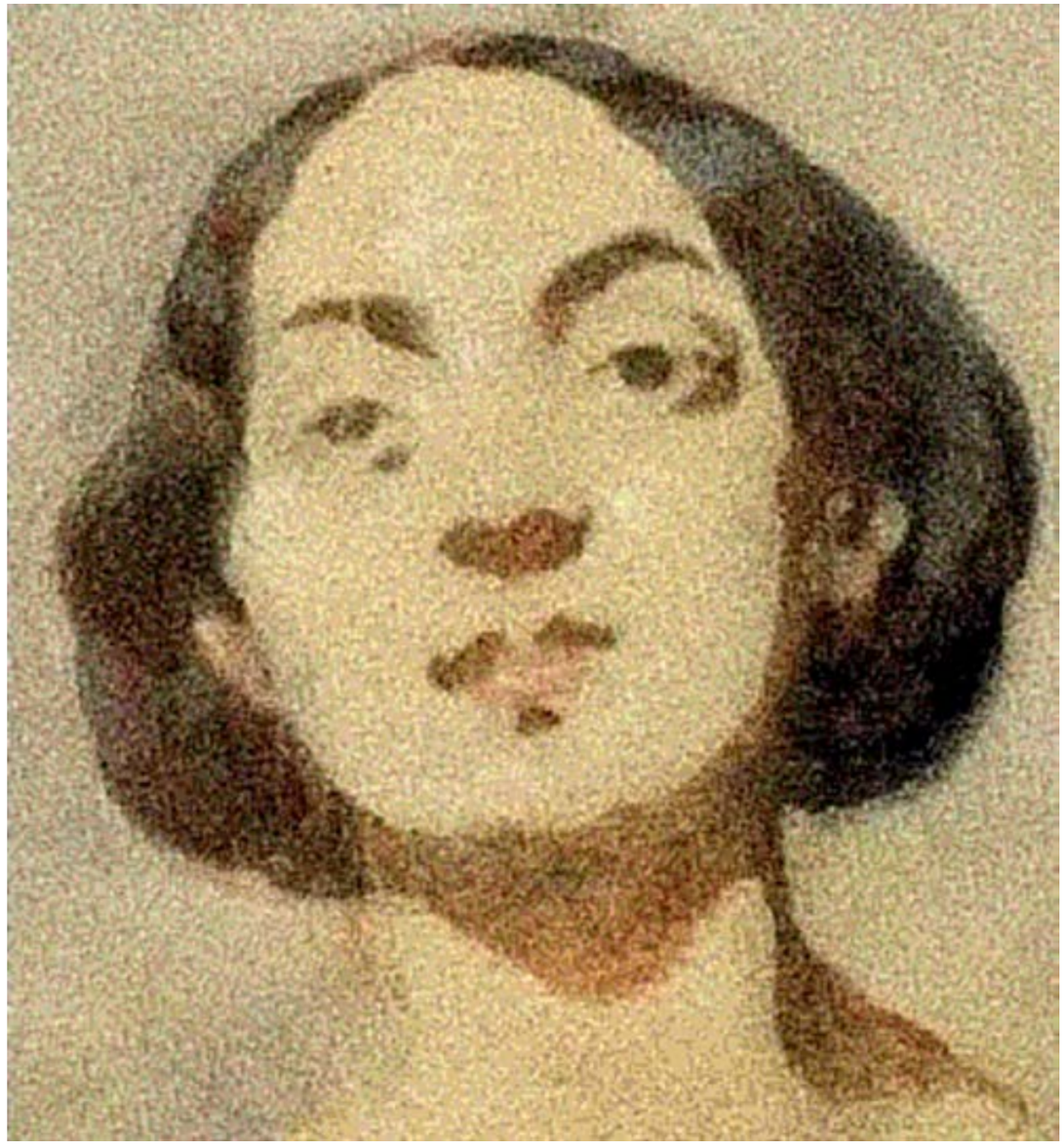

17-letnia wdowa hrabina Laura Czosnowska na pogrzeb nie czekała, wyjechała nazajutrz do matki, która mieszkała w Hieronimowie na Podlasiu. Ledwo rok temu rodzicielka błogosławiła ją na nową małżeńską drogę, a teraz oskarżoną o niewierność i samobójstwo męża pocieszyć musiała.

To przez matkę i jej męża, generała Dziewońskiego, Laura poznała Janusza. Przyjechała do nich do Warszawy, kiedy ojciec do domu sprowadził nową żonę. Z matką rozwiedli się wiele lat wcześniej. Mała Laura pozostała pod jego opieką. Franciszek Górski pozwolił jej wyjechać dopiero, kiedy skończyła 15 lat.

Przyjechała do stolicy pod koniec listopada, tuż po wybuchu powstania. Warszawa skradła jej serce tak samo jak przystojny, starszy o dziewięć lat oficer. Janusz, podporucznik 4 pułku strzelców konnych, musiał dostać pozwolenie na zawarcie małżeństwa od Komisji Wojny. Laura z kolei, uzyskała dyspensę od konsystorza generalnego Archidiecezji Warszawskiej. 19 grudnia 1830 roku w kościele św. Jana wzięli ślub. Miała zaledwie 16 lat, ale któż by czekał na miłość. Nie było na to czasu, właśnie zaczynała się wojna z Imperium Rosyjskim. Janusz musiał się bić, a ją wysłał do matki. Do tej perfidnej Zofii Oborskiej, która mieszkała w Łące, niedaleko Łańcuta.

„Oborska", pomyślała Laura z nienawiścią. Może i trochę flirtowała z jej starszym synem Józefem Ponityckim. Ale co innego miała na wsi robić? Z kim miała rozmawiać o poezji, muzyce, sztuce? Józef, o którym mówią, że jest nieślubnym synem księcia Poniatowskiego, to najmilszy towarzysz. Nudę przegonił, uśmiech obudził. Tylko potem, kiedy Janusz po klęsce powstania do Łąki przyjechał, wszystko się skomplikowało. Podejrzliwy był i nerwowy. Rozpacz przegranej polskiej rewolucji go przygniatała, ale jego matka donosicielstwa darować sobie nie mogła. „To ona go zabiła", doszła do wniosku wdowa i gniewnie przez okno powozu wyjrzała. Ależ by chciała koleją pojechać. Na to trzeba Paryża.

***

Zofia Oborska, dama z Księstwa Warszawskiego, kochanka księcia Józefa, a potem pana Morskiego, który jej dobra łąckie zapisał, znienawidziła pałac. Północna wieża samobójstwo syna wciąż jej przypominała. Chciała, musiała stąd wyjechać. „Jak ona śmiała, jak śmiała", oskarżała wciąż Laurę i do ducha Janusza wołała: „Dla kogo się zabiłeś? Dla niej? Dla tej mizdrzącej się flądry serce matki bólem przeszyłeś?" I tłukła się Zofia z tymi myślami po pałacowych pokojach niczym nieszczęsna dusza. A nie mogąc znaleźć spokoju i ona z Łąki wyjechała.

Już wcześniej służba zaczęła szeptać, że w północnej wieży starszy. Samobójstwo przekleństwem plami miejsce, w którym się dokonało. – Teraz dusza odpokutować musi wszystkie grzechy popełnione za życia. A największym jest targnięcie się na własne życie – szeptały pokojówki po kątach. I one bały się sprzątać dawny pokój Laury, gdzie młody pan się zastrzelił. A już po tym, jak Marianna z piskiem wybiegła wołając, że ducha w mundurze zobaczyła, zawsze chodziły tam we dwie.

Wieść o zjawie po okolicy szybko się rozniosła. Chłopi przechodząc koło folwarku trzy razy się żegnali, żeby złego ducha od siebie przegonić. A już szczególnie w Zaduszki kto mógł, ten park omijał. Nic dziwnego, że Potocki, który niedługo po tragedii folwark od Oborskiej kupił, wolał w nim fabrykę otworzyć, zamiast gości na nawiedzone pokoje zapraszać. Zresztą w przeklętym miejscu i fabryka się nie udała. Dopiero szlachetny uczynek siostry hrabiego Potockiego, zło odczynił. Za jej sprawą do pałacu sprowadził się Siostry Zgromadzenia Opatrzności Bożej, poprowadziły dom dla sierot, a w pałacowej kaplicy odkupienie dla niejednego nieszczęśnika wymodliły. Odtąd o duchach nikt tu nie słyszał.

Laura mieszkała już wtedy w Paryżu. Zamężna po raz drugi i już ustatkowana. Lwica Warszawy, jak ją z czasem nazwano, miała po drodze kilka romansów. Brylowała w towarzystwie, znała się z Norwidem, Mickiewiczem i Towiańskim. Ponoć podkochiwał się w niej Fryderyk Chopin. W każdym razie skomponował dla niej trzy Mazurki op. 63.

Nawet Juliusz Słowacki napisał o niej wiersz pt. „Córka Cerery”. A w nim takie słowa:
„W promiennych oczach bowiem światło grało
Słoneczne, jakieś piękne było znamię”.

Musiała być naprawdę piękna.

Czart na murze

Nie wiadomo, czy to diabeł musi pierwszy wejść między ludzi, żeby grzech się mnożył, czy też może to złe uczynki go wabią. W każdym razie swój swego znajdzie, powiadają. W Łące na własnej skórze to sprawdzili. Dawno, dawno temu, będzie już z dwieście lat, i tam czart się pojawił. Było to w czasach, kiedy hrabia Morski murowany spichlerz postawił. Tak, tak, ten sam spichlerz, w którym dziś kultura kwitnie i mili ludzie się spotykają. A było to tak…

***

Pierwsza zobaczyła go Józia. Szła do folwarku jeszcze przed świtem. Inni dopiero oczy otwierali, chleb w zawiniątko pakowali, żeby w pole wziąć, a ona już była przy pańskim murze. Pierwsza przed wszystkimi. Ze strachu wcześnie wyszła z chałupy, bo wczoraj za spóźnienie karbowy po nogach batem zdzielił ją tak mocno, że pręgi na skórze zostały.

– He, he, he… A dziś w loszku będziesz siedzieć – złośliwy rechot uderzył w nią gdzieś z góry. Stanęła jak wryta i z przerażeniem podniosła wzrok. Na murze podparty pod boki stał jakiś bogaty pan. Musiał być wielmoża, bo choć noc się dopiero rozwidniała, dostrzegła błysk guzików przy jego surducie, chustkę zawiązaną pod szyją i cylinder na głowie. Patrzył na nią i szczerzył zęby w złym uśmiechu. Zamarła i nie mogła ruszyć się z miejsca, jakby jej bose stopy zapuściły korzenie i wrosły w drogę do folwarku. Chciała jeszcze wzrok wbić w ziemię. I wtedy spuszczając oczy, dostrzegła dziwaczne buty owego jaśnie pana. Nagle jak grom z jasnego nieba do niej dotarło, że to nie buty, a kopyta. Wrzasnęła i w panice rzuciła się do ucieczki. Istota z muru pochyliła się do przodu, ręką sięgnęła po kapelusz i odsłoniła na pożegnanie rogi.

– Będziesz siedzieć – obiecała, a te skrzekliwe słowa dogoniły jeszcze uciekającą dziewczynę. Józia pognała do kościoła. Tam się zaszyła i do południa pacierze odmawiała. Na drugi dzień karbowy wsadził ją do celi, którą dla krnąbrnych chłopów w piwnicy spichlerza przygotowano. Za karę, że do roboty nie przyszła.

Surowe panowały rządy na folwarku. Hrabia Aleksander, kiedy tylko kupił dobra łąckie od Sanguszków, zabrał się za porządkowanie posiadłości tak, żeby jak największy z niej mieć dochód. On i jego syn Ignacy mieli głowę do interesów. Najpierw nowe budynki pobudowali na folwarku – spichlerz, młyn koński i rządcówkę, a po drugiej stronie drogi stajnie, kuźnię i wozownię. Oficjalistów z Czech i Niemiec pościągali i gospodarstwo zaczęło działać jak w zegarku. Tylko chłopi narzekali na ciężką pańszczyźnianą robotę. Na nieposłusznych jednak zarządca miał sposoby – różne kary, jak choćby ten loszek pod spichlerzem.

Co rusz tam ktoś trafiał, a odkąd diabeł po murze wokół folwarku zaczął spacerować, to coraz częściej to się zdarzało. Przybywało też parobków i dziewek, które go widziały, kiedy przed świtem albo po zmroku z roboty do domu wracali. Chłopi bali się coraz bardziej i szeptali, że to przez okrucieństwo i rozpustę dworską diabeł do Łąki się sprowadził.

Hrabia Ignacy, mały, garbaty, szpetnym był i z charakteru. Słynął ze skąpstwa i nawet zacna żona Magdalena z Dzieduszyckich uszlachetnić go moralnie nie zdołała. Był z nią w separacji. Do Łąki przyjechał za to z kochanką. Piękną, lecz lekkich obyczajów, Zofią. Plotkowano, że nawet jemu rogi przyprawiła. No a teraz rogate, nomen omen, bydlę z piekielnych czeluści wieś dręczyło.

***

Inaczej widział to hrabia.

– Bydlęta z tych chłopów. Diabeł im wymówką, kiedy robić się nie chce? – wyjaśnił rozeźlony ekonomowi, co myśli o czarcie na murze.

– Diabeł nie diabeł, coraz częściej przez niego do roboty się spóźniają – przyznał się dyspozytor, miętoląc w ręku kapelusz.

– Jak tak, to tak. Odczyniać będziemy. Księdza trzeba umówić. Niech mur egzorcyzmuje i diabła przegoni, bo żniwa idą – oświadczył hrabia, jak na sprawnego organizatora przystało.

I jak powiedział, tak zrobili. Nie minęły dwie niedziele, a ksiądz nabożeństwo odprawił, mury święconą wodą sowicie oblał i czart jakby znikł. Za to w łąckim kościele nowe polichromie się pojawiły, które hrabia Morski ufundował.

Tyle, że obyczaje na folwarku i w pałacu wiele się nie zmieniły. Karbowy pokrzykiwał jak i dawniej, na plecy bata można było zarobić, a hrabia wiódł życie, jakie wiódł. Obawa zatem w gromadzie rosła, że czart powróci. Kto wie, może nawet nigdzie nie poszedł, tylko teraz za murem schowany siedzi i czyha okazji, by do wsi polecieć, chłopom w głowach poprzewracać, baby zbałamucić?

Do wójta ludzie chodzili i mówili, że zrobić coś trzeba.

– Pilnować trzeba – radził Kuba.

– Kto ma pilnować? – zdziwił się wójt.

– Ustali się kolejkę. Będziemy pilnować.

– Zgłupieliście? Tyle w polu roboty. Ledwie człek legnie już wstawać musi, to jeszcze w nocy ma po murem siedzieć? Nie będzie na to zgody – wójt by tego pewien.

– Coś zrobić trzeba.

Podrapał się wójt po głowie. I inni na zebraniu też się podrapali. Widać to pomogło, bo zaraz ktoś rzucił, że trzeba figurę świętego postawić. Taki to najlepiej upilnuje. I jeszcze uradzono, że najlepszym strażnikiem będzie św. Józef – wzór wiary, pracowitości i sprawiedliwości, a także czystości, skromności i ubóstwa, zawsze Bogu posłuszny.

Taką też figurę św. Józefa z Dzieciątkiem Jezus na rękach w pobliżu muru postawiono. Nie wiadomo, czy dokładnie w tym miejscu, w którym jest dziś. Znajduje się za ogrodzeniem, na rogu posesji, gdzie droga od apteki łączy się z drogą do spichlerza, i wciąż na dawną folwarczną okolicę ma baczenie.

Źródła legend

Ostatni smok
Na podstawie legendy zawartej w „Drobnych dziejach Łąki" spisanych przez ks. Wawrzyńca Puchalskiego, a wydanych w 1892 roku.

Jak książę Sanguszko patrona dla kościoła w Łące wybrał
Na podstawie „Drobnych dziejów Łąki" ks. Wawrzyńca Puchalskiego, książki „Pogwarki i gadki rzeszowskie" Zbigniewa Trześniowskiego oraz żywota św. Onufrego.

Legenda o Starym Wisłoku
Na podstawie „Legendy" Józefa Rysia inspirowanej ludowymi opowieściami mieszkańców Łąki sprzed stu lat.

O łabędziu i łabędzim śpiewie Błażeja
Na podstawie starej legendy znajdującej się w opisie trasy rekreacyjno-turystycznej „Szlakiem Starego Wisłoka".

Diabeł z Krzywego Wału
Na podstawie opowiadań Józefa Rysia „Śladami Starego Wisłoczyska".

Jak chłopi łączy przed Tatarami się skryli
Na podstawie „opowiadań" Józefa Rysia, „Podań, legend i opowieści z Rzeszowa i okolic" Marka Czarnoty, „Trzebownisko – Odkrywamy dziedzictwo" Ryszarda Beresia i „Z dziejów wsi i parafii Łąka 1409-2009" Małgorzaty Gaweł, Tadeusz Patrusia, Wiesława Sierżęgi i Sławomira Wnęka.

Jak królową Jadwigę Wisłok uratował
Na podstawie „Podań, legend i opowieści z Rzeszowa i okolic" Marka Czarnoty.

Skarb konfederatów
Na podstawie opowiadania Józefa Rysia i historii bitwy o Rzeszów między konfederatami barskimi a Rosjanami, 13 sierpnia 1769 roku (w tym artykułu „Konfederaci barscy w Rzeszowie. Relacje Sebastiana Balawędroskiego z sierpnia 1769 r." Krzysztofa Bajrasza, https://tajnahistoriarzeszowa.wordpress.com/, i „Bitwa Konfederatów Barskich na Pobitnem" Bartosza Biesia, Podkarpacka Historia, Nr 9 - 10, październik 2016 r.

Zły, co w kogucie siedział
Na podstawie „Pogwarek i gadek rzeszowskich" Zbigniewa Trześniowskiego oraz przekazów ustnych Bronisława Pokrzywy i innych mieszkańców Łukawca.

Skrzypek czarodziej
Na podstawie wspomnień Józefa Rysia zawartych w książce „Tylko wody Wisłoka pozostały niezmienne".

Duch z pałacowej wieży i lwica Warszawy
Na podstawie „Pogwarek i gadek rzeszowskich" Zbigniewa Trześniowskiego, artykułu dr. Jacka Saramonowicza pt. „Hrabina Laura Czosnowska de la Barthe, „lwica warszawska" z Leszczynka", oraz ustnych opowieści mieszkańców Łąki.

Czart na murze
Na podstawie miejscowych opowieści i „Drobnych dziejów Łąki" ks. Wawrzyńca Puchalskiego.

Spis ilustracji

Smok, rys. Szur Szur, s.1 i s. 4
Kościół w Łące, fot. Karol Ząbik, s. 6
Stara łącka chałupa, fot. ze zbiorów Zdzisława Orzecha, s. 8
Nocny widok na łącki kościół, Karol Ząbik, s. 10
Łąckie pola o świcie, fot. Agnieszka Rogala, s. 14-15
Droga przez Łąkę, fot. ze zbiorów Zdzisława Orzecha, s. 16
Książę Paweł Karol Sanguszko, domena publiczna, s. 18
Święty Onufry pustelnik, ikona z XVII wieku, pochodząca ze Stańkowej. Miejsce ekspozycji – Muzeum Historyczne w Sanoku. Fot. Wikimedia, domena publiczna, s. 20
Kościół w Łące, fot. Tadeusz Poźniak, s. 22-23
Obraz św. Onufrego z poł. XVIII w. w środkowej części ołtarza głównego kościoła w Łące, fot. Karol Ząbik, s. 24
Stary Wisłok, fot. Alina Bosak, s. 26, 20-32
Drzewo, LN_Photoart/Pixabay, s. 32
Rzeźba łabędzia, która kiedyś znajdowała się na ścieżce „Szlakiem Starego Wisłoka", fot. Gmina Trzebownisko, s. 35
Świt nad Starym Wisłokiem, fot. Karol Ząbik, s. 37
Krzyż obok Krzywego Wału, fot. Karol Ząbik, s. 38
Krzywy Wał, zejście na ścieżkę „Szlakiem Starego Wisłoka", fot. Alina Bosak, s. 40
W lesie, fot. Karol Ząbik, s. 42-43
Wierzby przy dawnej drodze między Łąką a Łukawcem, fot. Gmina Trzebownisko, s. 46
„W jasyr", Antoni Piotrowski, domena publiczna. s. 49
Wokół Starego Wisłoka, fot. Alina Bosak, s. 50, 54-55
Królowa Jadwiga Andegaweńska, Marcello Bacciarelli – Poczet królów polskich z Zamku Królewskiego w Warszawie, Wikimedia, domena publiczna, s. 56
Zdjęcie lotnicze jaru Starego Wisłoka, fot. Gmina Trzebownisko, s. 59
Stary Wisłok, fot. Tadeusz Poźniak, s. 60
Konfederacja barska, Józef Brandt, fot. Wikimedia, domena publiczna, s. 62
Stary Wisłok, fot. Alina Bosak, s. 64
Krzyż konfederacji barskiej, XVIII-wieczny, fot. Maciej Szczepańczyk/Wikimedia, domena publiczna, s. 66
Kogut, Pixabay/Ralphs_Fotos, s. 72
Kapliczka "na rowach", rys. Franciszek Bałanda, ze zbirów Zdzisława Orzecha, s. 72

Łąckie pola, fot. Anna Kozioł, s. 74-75

Skrzypek, rys. Józef Ryś, ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Rzeszowie, s. 77

Dzwonnica kościół w Łące, fot. ze zbiorów Zdzisława Orzecha, s. 78

Pałac w Łące, ze zbiorów Krzysztofa Cieśli, s. 80-81

Laura Górska, grafika na bazie akwareli Teofila Kwiatkowskiego, znajdującej się w zbiorach Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie, s. 83

Noc, Spichlerz, fot. Karol Ząbik, s. 86-87, 88

Łącki krajobraz ze spichlerzem w tle, fot. Tadeusz Poźniak, s. 90-91

Figura św. Józefa, Łąka, fot. Karol Ząbik, s. 94

Drzewa w łąckim parku, fot. Karol Ząbik, s. 96

Zespół folwarczno-pałacowy w Łące z lotu ptaka, fot. Tadeusz Poźniak, s. 98